Wpływ pracy fizycznej na moralność młodzieży.

W ostatnim dziesiątku lat można było zauważyć, że ruch w kierunku wychowania młodzieży spotężniał i zaznaczył się tak w literaturze, jako też na wiecach wychowawców, w zakładaniu burs, w zabawach dla młodzieży, w urządzaniu warstatów szkolnych, w hodowli drzew owocowych, w celu zatrudnienia uczniów pracą fizyczną. Zwłaszcza w tym ostatnim kierunku widzimy postęp, gdyż nietylko prywatne osoby, lecz także publiczne instytucye starają się pobudzić społeczeństwo do wstąpienia na drogę praktycznego wychowania młodzieży, które jest możliwe przy równomiernym rozwoju sił duchowych i fizycznych. Ostatni kongres higieniczny w Paryżu, na którym praca polskiego wychowania była uwidoczniona w dziele Dr. Eug. Piaseckiego [1]) i wyrobach slöjdowych, ankieta, urządzona w zeszłym roku we Lwowie w sprawie warstatów szkolnych, wreszcie ostatnie rozporządzenie ministra oświaty, ułatwiające młodzieży i profesorom odbywanie ćwiczeń fizycznych w szerszym, niż dotąd zakresie, wskazują na ten fakt, że w tym kierunku było zaniedbanie i że należy ułatwić i rozszerzyć pracę wychowawczą według starożytnej zasady: mens sana in corpore sano, aby przygotować młodzież do spełnienia ważnych obowiązków życia obywatelskiego.

Ze stanowiska etyki katolickiej powinniśmy z radości powitać ten kierunek wychowawczy, gdyż praca fizyczna wpływa nader korzystnie na rozwój moralny młodzieży,

---

1) Les écoles polonaises et leurs conditions hygiéniques.

albowiem powstrzymuje ją od wielu błędów w życiu.

Jeżeli pracy umysłowej słusznie ten wpływ prohibitywny przyznajemy, gdyż zatrudniając władze duchowe: rozum, wolę i uczucie, chroni je przed wypaczeniem, a utrzymując wyobraźnię w granicach normalnych, powstrzymuje ją od chorobliwego wybujania, to nie mniej i praca fizyczna wpływa korzystnie pod tym względem, a nadto przyczynia się do utrzymania równowagi między siłami duchowemi i fizycznemi. Te korzyści miał na względzie Grzegorz z Nazyanzu, gdy w liście do przyjaciela Bazylego mile wspominał o tych chwilach, w których oddawali się społem pracy fizycznej: „Kto nam przywróci one dni, w których pracowaliśmy razem od rana do wieczora, gdy rąbaliśmy drwa lub obrabialiśmy kamienie, gdy sadziliśmy drzewa i podlewali je, gdyśmy pchali ciężkie taczki, z czego nam pozostały na długo nabrzmienia na rękach[1]).

Dla młodzieży przedstawia się praca fizyczna i z tego powodu jako czynnik umoralniający, że jest produktywną w krótkim czasie, przeto silnie pobudza do wytrwałości i do doskonalenia się. Praca teoretyczna nie podaje zaraz konkretnych korzyści, nie może więc w tym stopniu, co praca fizyczna, zajmować wyobraźni młodzieży. Dlatego to upleciony koszyk, wyhodowane drzewo, uszyta suknia sprawia większą radość robotnikowi młodocianemu niż teoretyczne studya, oderwane od praktycznych owoców pracy.

Następstwem umiarkowanej pracy fizycznej jest rozwój sił fizycznych i zdrowie ciała, wzmocnienie potencyonalnej energii, przez to zaś wzmocnienie woli młodzieńca.

Na zarzut, że wielu pośród młodzieży, odznaczających się siłą fizyczną, nadużyło jej do złego, odpowiadamy, że brakło u nich wyższego pierwiastka idealnego i podporządkowania sił ciała pod potęgę ducha.

---

[1]) Greg. Naz. Ep. 9 i 13.

W chrześcijaństwie praca fizyczna była wysoko ceniona, gdyż była kierowana wyższą ideą. Św. Paweł, nie chcąc być ciężarem dla gminy chrześcijańskiej, wyrabiał płótno pomimo niesłychanych trudów, podjętych w dziedzinie pracy apostolskiej. „Sami wiecie“ — mówił do Efezyan „iż moim potrzebom i tych, którzy są za mną, służyły te ręce. Wszystkom wam ukazał, iż tak pracując, potrzeba podejmować słabych; a pamiętać na słowo Pana Jezusowe, że on mówił: szczęśliwsza jest dawać niż brać“.[1]) Ta sama myśl przewodnia pobudzała chrześcijan, tak duchownych jako też świeckich, do wykonywania pracy fizycznej. Św. Ignacy wzywa: „Niech nie będzie nikogo pośród was próżnującego“. Barnabas wskazuje na cel uświęcający pracę: „Każdy niech pracuje swojemi rękami dla pokuty za swoje grzechy“.[2]) Kanony, znane jako wydane przez 4. synod. kartag., nakazywały duchownym zajmować się rzemiosłem i w ten sposób na utrzymanie zarabiać[3]). Św. Hilary z Arles oszczędzał tyle z owoców pracy ręcznej, że mógł nimi zasilać ubogich. Praca fizyczna miała i ten dobry skutek, że czyniła organizm odpornym na choroby i wytrzymałym w celu podjęcia trudów, złączonych z pracą apostolską.

U żydów było także wielkie poszanowanie dla pracy fizycznej. W okresie wolności politycznej oddawali się prawie wyłącznie uprawie roli. Rozprószeni między obce narody, oderwani od rodzinnej ziemi byli zniewoleni do szukania innych środków utrzymania. Wtedy to każdy Izraelita winien był nauczyć się jakiego rzemiosła: »Na ojcu cięży obowiązek“ — mówi Talmud „obrzezania syna swego, zaprawienia do znajomości zakonu i wyuczenia go właściwego zawodu. Rzemiosło nie poniża nikogo, choćby najznakomitszych rabbich i mistrzów w Izraelu: Hillel i Akiba, dwaj między nimi najsławniejsi, byli drwa-

---

[1]) Dzieje ap. 20, 34, 35.

[2]) Ep. Barnabae c. 19.

[3]) Conc. Carth. IV., c. 51: Clericus quantumlibet verbo Dei eruditus artificio victum quaerat. c. 53: Omnes clerici et artificiola et litteras discant.

łami; Rabbi Johanan szewcem; Rabbi Izaak Nanacha kowalem"[1]).

Sam Chrystus Pan uświęcił ten obyczaj żydowski pracą przy warstacie cieśli św. Józefa. Z Nazaretu też wyszedł ideał chrześcijańskiej rodziny, który przeszczepiony na grunt pogański, dokonał odrodzenia społeczeństwa. Jezus przy pracy w zaciszu domowem, to wzór dla młodzieńca.

Grecy starożytni podporządkowali także ćwiczenia fizyczne ideałom duchowym. U nich ćwiczenia fizyczne służyły do wyrobienia sił ciała i wzmocnienia zdrowia, do nabycia zręczności w boju i umiejętności wojennych (τακτική, στρατηγία) i miały dać dzielność męską (ἀνδρεία), dobrą postawę (εὐσχημοσύνη), wyrobić bystrość umysłu i t. d.[2]).

Z nowożytnych narodów te stanęły najwyżej w pochodzie kulturalnym, które umiały rozwinąć siły fizyczne i poddać je pod kierunek zdrowego ducha. Anglicy, których dzisiaj stawiają na czoło nowożytnej kultury, „utrzymują, że wychowanie fizyczne jest prawdziwą podstawą wychowania moralnego i że to, co wzmacnia ciało, zasila jednocześnie i ducha"[3]). Dlatego szkoła ma raczej wyrabiać charaktery, niż inteligencyę, celem nauki ma być wychowanie moralne przez naukę, a zabawy mają służyć do wyrobienia posłuszeństwa i przedsiębiorczości.

Nasze wychowanie narodowe powinno iść w kierunku praktycznym. Dlatego za chorobliwy objaw należy uważać powszechną dążność do kształcenia się teoretycznego i zdobycia świadectwa dojrzałości, aby iść potem utartą drogą na stanowiska, przynoszące stałe pensye i emerytury, a zaniedbanie w dziedzinie handlu, przemysłu, rękodzielnictwa i rolnictwa.

---

[1]) Tosaphot, in Kidduschin, v. 1.

[2]) Plato Laches, Politeia.

[3]) Por. broszurę St. Byszewskiego: „Jak pojmują wychowanie Anglicy". Kraków 1907.

Inaczej być nie może, gdyż młodzież, nie mając w okresie rozwoju duchowego i fizycznego sposobności do ocenienia i wyrobienia swoich sił, wychodzi ze szkół bezradna, nie przedsiębiorcza.

Aby tej jednostronności zapobiedz, trzeba dać młodzieży sposobność wykonywania produktywnej pracy fizycznej. Należałoby więc najnowsze rozporządzenie ministra oświaty, zmierzające do wyćwiczenia sił fizycznych przez naukę strzelania, wyzyskać w naszym kraju w kierunku praktycznym i umożliwić zakładanie przy szkołach warstatów rękodzielniczych, przemysłowych i gospodarstw rolnych.

Aby jednak ten skutek osiągnąć, trzeba ograniczyć materyał naukowy i wpływać na zmianę kierunku wychowawczego w domu. Dopóki bowiem młodzieniec nie będzie troszczył się o swoje utrzymanie, lecz liczył na pomoc domu i społeczeństwa, dopóty pozostanie manekinem w ręku wychowawców lub podatnym materyałem w ręku agitatora politycznego i społecznego.

X. Franciszek Gołba.

O zwierzęcem pochodzeniu człowieka.

(Dokończenie).

Pozostaje dowód ostatni, zaczerpnięty z paleontologii. Ewolucyoniści, wierzący święcie w nasze pokrewieństwo z rodem małpim, szukają ustawicznie postaci kopalnej, któraby stała w pośrodku pomiędzy ludźmi a zwierzętami. I niejeden już szkielet uchodził — przynajmniej na chwilę — za taką formę przejściową. W ostatnich czasach dostąpił tego zaszczytu *Pithecanthropus erectus* — małpolud lub małpoczłek wyprostowany.

W roku 1891 — oto ciekawe dzieje małpoluda, który był przedmiotem badań wielu uczonych europejskich,

oraz wielu kongresów — holenderski lekarz wojskowy, Eugeniusz Dubois, znalazł na wyspie Jawie, niedaleko osady Trinil, część szkieletu, mianowicie sklepienie czaszki, ząb trzonowy i kość udową, a później jeszcze jeden ząb trzonowy. Kości te, nie leżące razem (czaszka i kość udowa były oddalone od siebie o 15 m.), uznał Dubois za resztki owego przypuszczalnego przodka ludzkiego, o którym pisał Haeckel, za dawno szukany „*missing link*“ między ludźmi a zwierzętami. Toż obok uczonego Holenderczyka najwięcej cieszył się odkryciem niemiecki Darwin. „Według najprostszych praw logiki — pisał Haeckel[1]) — tylko to zdanie uważać można za usprawiedliwione, według którego *Pithecanthropus erectus*, znaleziony przez Dubois, należeć ma w rzeczywistości do wymarłej grupy pośredniej między człowiekiem a małpą“. Według Haeckla brakowało temu małpoludowi jedynie trzech rzeczy, by zostać człowiekiem: artykułowanej mowy, świadomości i zdolności do abstrakcyi! Schwalbe, jakkolwiek w szczegółach odstępuje od rodowodu ludzkiego, postawionego przez Haeckla, upatruje także w małpoludzie ogniwo pośrednie między małpami człekokształtnemi a ludźmi. Inni uczeni byli i są innego zdania. Kiedy Dubois przedstawił swe odkrycie na trzecim międzynarodowym kongresie zoologów, odbytym r. 1895 w Leydzie, Virchow zauważył, że oznaczenie znalezionych kości pod względem systematycznym byłoby tylko wtenczas możliwe, gdyby cały szkielet istniał. Bumüller[2]) i Macnamara[3]) doszli na podstawie sumiennych badań do przekonania, że małpolud jawajski był wielką małpą z grupy hylobatydów. To zapatrywanie podzielają także Kollmann, Hamann i Ryszard Hertwig[4]). Bumüller twierdzi nadto, że ów rzekomy małpolud nie był wcale „wyprostowany“; do tego zdania przechylił się

---

[1]) O pochodzeniu człowieka ze stanowiska dzisiejszej wiedzy, str. 17.

[2]) Korrespondenzblatt der Deutschen Anthrop. Gesellsch., 1899, t. XXX., st. 157.

[3]) Archiv für Anthropologie, 1903, str. 349 i nn.

[4]) Lehrbuch der Zoologie, wyd. 8, 1907, str. 609.

i Klaatsch. Z drugiej strony geolog W. Volz [1]) udowodnił, że warstwy ziemi, w których leżał *Pithecanthropus*, nie są ani starsze od starodyluwialnych, ani młodsze od nowodyluwialnych, że pochodzą prawdopodobnie z środkowego dyluwium [2]). Również dr. Carthaus [3]) uważa warstwy, o których mowa, za późniejsze od trzeciorzędowych; podobnie sądzą K. Martin, Elbert i J. Schuster [4]). Skoro zaś w okresie dyluwialnym (czwartorzędowym) żył niezawodnie człowiek, przeto jest rzeczą oczywistą, że *Pithecanthropus* nie mógł być jego protoplastą.

Nie są to wszakże hipotezy jedyne. Houzé i H. Breuil [5]) widzą w małpoludzie dawną rasę ludzką; jeszcze inni udo przypisują rasie ludzkiej, która się różniła od wszystkich innych kopalnych i dzisiejszych, a czaszkę i zęby nieznanym małpom człekokształtnym.

Wobec tego nic nie można na pewno powiedzieć o małpoludzie jawajskim. Różnica w zdaniach — pisze dr. Kohlbrugge [6]) — „pokazuje nam, że nie mamy tutaj przed sobą równań o jednej, dwóch, lub trzech niewiadomych, ale że liczba nieznanych wielkości jest prawie nieskończenie wielka, że nasza wiedza jest małym punktem, na którym budujący hipotezę stawiają piramidę podstawą w powietrzu, tak, iż wszystko znajduje się w najniebezpieczniejszej równowadze“. To jednak nie ulega wątpliwości, że dzisiaj — jak słusznie zauważył F. Birkner [7]) — „rozszerza się coraz bardziej przekonanie, iż (w sprawie t. zw.

---

[1]) Neues Jahrbuch für Mineralogie, Geologie u. Paläontologie, 1907, str. 256 i nn.

[2]) Mimo to Volz widzi w małpoludzie jawajskim »nieudałą próbę przyrody«, dążącej do zamiany małpy w człowieka!

[3]) Sitzungsberichte der kön. preuss. Akademie der Wissensch., 1908, zesz. 12, str. 261 i nn.

[4]) Ein Beitrag zur Pithecanthropusfrage, Monachium 1910, str. 16.

[5]) Revue des sciences philosophiques et théologiques, 1909, str. 741 i nn.

[6]) Die morphologische Abstammung des Menschen, Stuttgart 1908, str. 12.

[7]) Der diluviale Mensch in Europa, Monachium 1910, str. 7.

małpoluda) chodzi tylko o wielkiego stosunkowo przedstawiciela gatunkn gibbona (*Hylobates*), a więc o małpę człekokształtną".

Następnem ogniwem, tj. ogniwem, łączącem małpoluda jawajskiego z człowiekiem obecnym, ma być t. zw. człowiek neandertalski.

Pierwsze i to częściowe szczątki kopalne tego człowieka odkryto (Fuhlrott i Schaafhausen) w Dolinie Neandra między Elberfeldem a Düsseldorfem 1856 r. Zdania o człowieku neandertalskim były z początku bardzo rozstrzelone: uważano go jużto za pierwotnego małpoluda, jużto za praczłowieka, jużto za idyotę, jużto za osobę cierpiącą na podagrę, jużto za starego Germana, Holendra, lub Fryza, jużto za Kozaka mongolskiego, jużto za krewniaka murzynów afrykańskich. *Quot capita, tot sensus*. Niektórzy liczą tutaj przeszło dwadzieścia różnych hipotez. Później znaleziono szkielety, podobne do neandertalskiego w innych miejscach; do najsławniejszych należą szczątki, wykopane u wejścia do pieczary w Spy koło Namur (r. 1886) i pod Krapiną w Chorwacyi (r. 1899).

Właściwości neandertalskiego człowieka są następujące: Czaszka szeroka a płaska; gdy wysokość najniższej czaszki nowożytnej wynosi 52% jej długości, to wysokość czaszki z Doliny Neandra równa się 40·4% długości. Czoło nizkie i mocno w tył pochylone. Łuki nadoczne (*tori supraorbitales*) potężne i ostro odgraniczone. Szczęka dolna wysoka i gruba z bardzo małą brodą; zęby wielkie. Ręce i nogi — o ile ich resztki dotychczas znaleziono — krótkie; kości udowe w stosunku do dzisiejszych niezgrabne i widocznie skrzywione.

Schwalbe uznał człowieka neandertalskiego w r. 1901 za rodzaj, a w parę lat później za gatunek pośredni między małpami mioceńskiemi a dzisiejszym człowiekiem (*Homo sapiens*). W rzeczywistości wszakże *Homo neandertalensis*, ochrzczony przez Schwalbego człowiekiem pierwotnym — *Homo primigenius*, jest tylko starszą rasą ludzką, która zamieszkiwała w okresie dyluwialnym środkową Europę. Że istotnie mamy tutaj przed sobą jedynie

ludzką rasę, wskazują, prócz dawniejszych badań Spengla, prace Macnamary i Krambergera. Zdaniem Macnamary [1]) dziś jeszcze można spotkać u Australczyków i Tasmańczyków czaszki, podobne do neandertalskiej; co więcej, uczony ten twierdzi, iż przeciętna pojemność mierzonych przezeń trzydziestu sześciu czasek Australczyków i Tasmańczyków jest mniejsza od czaszek neandertalskich [2]). Prof. Gorjanowič-Kramberger [3]) poświadcza, że od człowieka neandertalskiego do dzisiejszego istnieją powolne i nieprzerwane przejścia. Do tego samego wyniku prowadzą badania Klaatscha, który w ciągu trzech lat zebrał obfity materyał porównawczy w Australii i naszego rodaka, Stołyhwy [4]). Klaatsch, omawiając ten przedmiot na ośmdziesiątym Zjeździe przyrodników w Kolonii 1908 r., przyznał nadto, że *Homo neandertalensis* przewyższał pod względem indywidualności i odwagi dzisiejszego człowieka kulturalnego. Stołyhwo, porównawszy 49 morfologicznych znamion, przysługujących czaszkom człowieka pierwotnego i dzisiejszego, doszedł do przekonania, że czaszki w pięciu znamionach zbliżają się do siebie, a w dwudziestu sześciu krzyżują; co do pozostałych ośmnastu, to *Homo primigenius* mieści się w *Homo recens* [5]). Nie koniec na tem. Müller de la Fuent i Gorjanowič — Kramberger [6])

---

[1]) Archiv für Anthropologie, XXVIII. (1902 — 1903), str. 349 i nn.

[2]) „Aus den bisherigen Untersuchungen — dodaje Birkner (dz. przyt., str. 34) — über den Schädelinhalt der Neandertalrasse ergibt sich, dass dieser den Mittelwert des Schädelinhalts des modernen Europäers erreicht und sogar überschreitet".

[3]) Biol. Zentralblatt, 1905, str. 810 i nn.

[4]) Homo primigenius apartient — il à une espèce distincte de Homo sapiens? (L'Anthropologie, Paryż 1908, t. XIX, str. 191 i nn.).

[5]) Postaci przejściowe między *Homo primigenius* a *H. sapiens* przyjmują według Stołyhwy (Globus, Brunświk, 1908, t. XCIV, str. 364) następujący uczeni: Giuffrida Ruggieri, E. Houzé, E. Tedeschi, J. Talko-Hryncewicz, O. Walkhoff, J. Jarricot i J. Kollmann.

[6]) Globus, 1907, t. XCI, str. 179.

utrzymują, że *Homo primigenius i Homo recens* żyli równocześnie [1]).

Zarzucano wprawdzie człowiekowi dyluwialnemu, zwłaszcza człowiekowi ze Spy, że nie mógł chodzić prosto, atoli późniejsze badania (Manouvrier) wykazały bezpodstawność tego twierdzenia [2]).

Słowem, człowiek neandertalski nie tworzył pośredniego ogniwa między zwierzęciem a człowiekiem dzisiejszym.

To samo trzeba powiedzieć o szkieletach z Le Moustier (w dolinie Wezery) i La Chapelle—aux—Saints (w departamencie Corrèze), znalezionych w r. 1908, oraz o dolnej szczęce, wykopanej r. 1907 we wsi Mauer koło Heidelbergu. Szczątki z Le Moustier, starsze niezawodnie od szczątek z La Chapelle—aux—Saints, bo pochodzące z początku lub środka okresu lodowego, ale należące razem z niemi do rasy neandertalskiej [3]), są ważne przedewszystkiem z tego powodu, że świadczą wymownie o ówczesnej czci dla zmarłych. *Homo Mousteriensis Hauseri* (Hauser go wykopał) leży na prawym boku; głowa jego spoczywa na poduszce z gliny i krzemienia; prawa ręka podłożona pod głowę — koło lewej, swobodnie wyciągniętej, widać siekierę kamienną, umieszczoną w grobie z widocznym zamiarem [4]). Szczęka z Mauer, pochodząca, jak się zdaje, z najwcześniejszego okresu lodowego, uchodzi w oczach niektórych badaczy za zwiastunkę rasy

---

[1]) Por. Stołyhwo, Czaszki z Jackowicy, Warszawa 1905, str. 50.

[2]) Ranke, Der Mensch, t. II, str. 483.

[3]) Alsberg, Neu aufgefundene fossile Menschenreste und ihre Beziehungen zur Stammesgeschichte des Menschen (Globus, 1909, t. 95, str. 261 i nn.).

[4]) „Wie ganz anders — woła tutaj wspomniany już kilka razy przyrodnik berliński, prof. Hamann (Die Abstammung des Menschen, str. 38) — ist dieses Bild, das von einer gewissen Kultur dieses altdiluvialen Eiszeitmenschen zeigt, verglichen mit jenen, die uns der Darwinismus mit seinem Affenmenschen vorzuführen jahrzehntelang gewagt hat!«

neandertalskiej. W każdym razie Bumüller, Alsberg[1]) Fraas i O. Schötensack, który poświęcił rzeczonej czaszce piękną pracę [2]), uważają ją za czaszkę ludzką.

Równocześnie z rasą neandertalską[3]) albo, co prawdopodobniejsze, nieco od niej później, więc pod koniec okresu lodowego, żyła w Europie druga rasa; mówią o niej szkielety, znalezione najpierw (r. 1868) w Crô-Magnon, a potem w innych miejscowościach (np. w Laugerie Basse i La Chancelade) południowej Francyi. Ludzie, należący do tej rasy, zwanej rasą Crô-Magnon lub magdaleńską, mało się różnili, pod względem zewnętrznego wyglądu, od dzisiejszych. Łuki nadoczne mieli słabo rozwinięte, a czoła i sklepienia czaszek tak wysokie, iż mózgi ich przewyższały objętością przeciętne mózgi teraźniejszych Paryżan [4]); dolna szczęka, znacznie delikatniejsza, aniżeli u człowieka neandertalskiego, kończyła się wysuniętą naprzód brodą.

R. Vernau przyjmuje jeszcze inną grupę ludzi dyluwialnych; przedstawicielami jej mają być szczątki paru osobników, znalezione niedawno w grocie *Des enfants* koło Mentony. Trzecia ta rasa, nosząca także nazwę typu z Grimaldi, a uważana przez Vernau za pośrednią między rasą neandertalską a rasą Crô-Magnon, odznaczała się właściwościami (nos płaski, wystające szczęki i kości licowe), cechującemi przedewszystkiem murzynów. Inni wszakże antropologowie widzą w typie z Grimaldi tylko odmianę rasy Crô-Magnon.

Nie posiadamy tedy żadnych form pośrednich między człowiekiem a małpą. Gdy paleontologia zna około 30 rodzajów małpiatek i 18 rodzajów małp prawdziwych,

---

[1]) Globus, 1909, str. 37 i nn.

[2]) Der Unterkiefer des Homo Heidelbergensis aus den Sanden von Mauer bei Heidelberg, Lipsk 1908.

[3]) Według M. Krausego *Homo neandertalensis*, *H. Spyensis i H. Krapinensis* są trzema rasami człowieka, żyjącego w starym okresie kamiennym (*H. palaeolithicus*). Inni mówią o odmianach rasy neandertalskiej.

[4]) Zob. Ranke, Der Mensch, t. II, str. 482 i n.

znalezionych w rozmaitych pokładach, począwszy od eocenu, to ród ludzki występuje po raz pierwszy w czasie lodowym (dyluwium, okres czwartorzędowy)[1]. W rzeczy samej niema na to żadnego dowodu, że człowiek lub jego przodkowie żyli w trzeciorzędzie. Niektórzy, chcąc uzasadnić tę tezę, powołują się na eolity i archeolity, tudzież na rysy na kościach zwierzęcych i odciski stóp ludzkich, mające pochodzić z tego czasu. Eolitami zowią krzemienie, których używał rzekomo pierwotny człowiek bez poprzedniego obrobienia, tj. w takiej postaci, w jakiej je znalazł; tylko pewne ślady świadczyłyby, że ręka ludzka posługiwała się tymi kamieniami. Archeolity zaś nie posiadają wprawdzie właściwej formy narzędzia, ale uchodzą za krzemienie obrabiane. Prawdziwość wszakże eolitów jest dzisiaj co najmniej podejrzana. „Rozmaici badacze w różnych stronach — świadczy L. Waagen[2]) — i z różnego punktu widzenia wychodząc, doszli do tego samego wyniku, że eolity były utworzone nie ręką ludzką, lecz siłami przyrody“. Za archeolity z miocenu górnego uważają niektórzy (np. Rutot, Capitan, Klaatsch i Verworn) przypuszczalne wyroby krzemienne, znalezione pod Aurillac we Francyi. Należy atoli pamiętać, że inni uczeni (Bumüller, Keilhack, Nötling, L. Mayet) podnoszą przeciw temu poważne wątpliwości. Zdaniem np. Bumüllera archeolity z pod Aurillac mogą być wprawdzie dziełem ludzkiem, lecz nikt nie potrafi wykazać, że leżały one w warstwie nienaruszonej. Zacięcia znowu na kościach pochodzą według nieuprzedzonych badaczy najprawdopodobniej od zębów ryb lub drapieżnych zwierząt lądowych. Wreszcie ślady stóp, jak wyznaje W. Branco, nie są tak pewne, żeby można na nich opierać istnienie człowieka trzeciorzędowego.

Czy jednak *Tetraprothomo argentinus*, znaleziony przez Fl. Ameghino w r. 1887, a podniesiony wysoko

---

[1]) Zob. Birkner, dz. przyt., str. 23 i n.

[2]) Mitteilungen der geogn. Ges. in Wien, 1907, str. 348. Zob także Globus, 1910, t. XCVII, str. 305.

w ostatnich latach, nie jest wspólnym, choć dalekim rodzicem człowieka i małp? Ameghino, wykopawszy na Monte Hermoso w górnym miocenie jedną kość udową i jeden krąg szyjowy, zwany dźwigaczem (obie kości są podobne do ludzkich), przypuścił, iż resztki tego szkieletu należały do jestestwa znacznie od nas mniejszego, do *Tetraprothomo*, który kolejno stawał się *Triprothomo*, *Diprothomo i Prothomo*, a w końcu przybrał postać dzisiejszego człowieka. Ponieważ znalezione szczątki nie posiadają żadnych znamion małpich ani kopalnych ras europejskich, ani ras dzisiaj żyjących, przeto Ameghino wnosi, że i przodkowie człowieka i pierwotni ludzie byli wolni od wszelkich cech pitekoidalnych, tudzież, że znamiona małpie zjawiły się u ludzi skutkiem takiego samego zboczenia typu pierwotnego, przez jakie powstały małpy człekokształtne. Tak tedy Tetraprothomo świadczyłby o pośredniem pokrewieństwie między człowiekiem a małpami.

Przeciw powyższej hipotezie przytacza wszakże A. Gemelli [1]) następujące zarzuty: Najpierw Tetraprothomo nie jest tak dawny, jakby według hipotezy być powinien. Lehmann-Nitsche, który badał dźwigacz, odnosi wykopalisko do pliocenu dolnego. Powtóre z dwóch kości niecałych i znalezionych osobno nie podobna odtworzyć dawnego ustroju, tem bardziej, że dźwigacz należał do innego, a mianowicie większego osobnika. Wprawdzie Ameghino chce zapobiedz ostatniej trudności zapomocą dodatkowej hipotezy, atoli hipoteza ta jest tak fantastyczna, iż nie zasługuje nawet na przytoczenie.

Słowem, paleontologia nie tylko nie dowodzi zwierzęcego pochodzenia człowieka, lecz prowadzi do wprost przeciwnego wniosku. Jak w kambryum widać wyraźnie odgraniczone od siebie wszystkie postaci zwierzęce z wyjątkiem kręgowców, jak w eocenie okresu trzeciorzędowego zjawiają się bez form przejściowych wszystkie rzę-

---

[1]) La rassegna nazionale, t. CLXX, 1909, Teorie recenti sull' origine dell' uomo, str. 483 i n.

dy ssaków, tak w czasie dyluwialnym występuje na widownię nagle, t. j. bez wszelkich zapowiedzi, *Homo sapiens* w postaci doskonałej. „Największa część tych najstarszych ludzi — mówił na V. międzynarodowym kongresie 1901 r. wobec zoologów całego świata wspomniany wyżej Branco, dyrektor geologiczno-paleontologicznego Instytutu w Berlinie — posiadała czaszkę, z której mógłby być dumny każdy z nas... Paleontologia nie zna żadnych przodków człowieka“ [1]).

Tak wyglądają w prawdziwem oświetleniu rzekome dowody zwierzęcego pochodzenia człowieka. Kto przeczytał jednego lub dwóch ewolucyonistów w rodzaju Haeckla, ten gotów uwierzyć, iż nasz początek zwierzęcy nie ulega najmniejszej wątpliwości. Jeżeli jednak rozglądnie się lepiej w dziełach zwolenników rozwoju, należących do różnych obozów, a tem bardziej pisarzy, którzy go wcale nie uznają (tacy zaś żyją do dnia dzisiejszego i między przyrodnikami), jeżeli sumiennie rozważy to wszystko, co rozmaici przedstawiciele nauki powiedzieli o tym przedmiocie, natenczas dojdzie niewątpliwie do przekonania, że teoryi zwierzęcego początku człowieka, tak zachwalanej przez wielu nieuczciwych popularyzatorów, brakuje uzasadnienia. Żaden dowód, przytaczany na jej rachunek, nie oparł się, jak widzieliśmy, bezstronnej i przedmiotowej krytyce. Owszem, niema ani jednego dowodu, na któryby się zgodzili wszyscy zwolennicy descendencyi. Co twierdzą jedni, to równocześnie albo za chwilę obalają drudzy. Stąd mamy np. mnóstwo drzew genealogicznych człowieka, które sie z sobą kłócą. Inaczej przedstawia rodowód ludzki Haeckel, inaczej Schwalbe, inaczej Klaatsch, inaczej Bonarelli, inaczej Sergi, inaczej Tyler, inaczej Majewski, inaczej jeszcze inni. O każdym z tych rodowodów można powtórzyć to, co przed 30-tu z górą laty napisał Du Bois-Reymond o pierwszym: mają one

---

[1]) Cytat według stenograficznych zapisków Wasmanna; zob. Stimmen aus Maria - Laach, 1903, zesz. 9, str. 407 i n.

zupełnie taką samą wartość, jak genealogie bohaterów Homera.

Powyższa krytyka prowadzi do wniosku, że nauka nie zna odpowiedzi na pytanie, skąd się wzięło ciało ludzkie [1]), tudzież, że wierzący chrześcijanin nie potrzebuje wcale odstępować od dosłownego tłumaczenia Biblii, według której Bóg jest bezpośrednią przyczyną pierwszej pary ludzi nie tylko co do duszy, lecz także co do ciała [2]). Nie wynika stąd, jakoby słowa Genezy: „Utworzył (ulepił) tedy Pan Bóg człowieka z mułu ziemi“ (II, 7) trzeba lub można brać w ścisłem znaczeniu. Taka hipoteza lepienia rękami ciała Adama z mułu, sprzeczna z czysto duchową istotą Stwórcy, byłaby, jak trafnie powiada św. Augustyn [3]), *nimium puerilis cogitatio.* Tekst powyższy, wzięty dosłownie, zaznacza tylko, że Bóg sam uczynił ciało Adama z materyi na początku stworzonej, czyli z pierwiastków, znajdujących się na ziemi, jak później uczynił sam ciało Ewy z boku Adama. To zaś dosłowne tłumaczenie jest tem bardziej uzasadnione, że Geneza inaczej opisuje powstanie roślin i zwierząt, aniżeli człowieka. „I rzekł (Bóg): Niech zrodzi ziemia ziele zielone i dawające nasienie i drzewo rodzajne, owoc czyniące (I, 11). Niech wywiodą wody płaz... i ptactwo (20). Niech zrodzi ziemia... bydło i płaz i bestye ziemne (24)“. Gdy więc według Biblii ciało pierwszych ludzi Bóg bezpośrednio utworzył, to rośliny i zwierzęta wydaje z siebie ziemia lub woda tylko na Jego wszechmocny rozkaz.

Lecz co się stanie z dosłownem tłumaczeniem przytoczonego wyżej tekstu Genezy, gdy nauki przyrodnicze

---

[1]) Zob. J. Reinke, Die Natur und wir, 1907, str. 159.

[2]) Ponieważ Objawienie poucza nas o początku rodu ludzkiego i ponieważ z tem zagadnieniem łączy się cały szereg prawd religijnych, przeto zajmuje się niem także teologia. Mylnie tedy twierdzi dr. L. Plate (Ultramontane Weltanschauung, Jena 1907, str. 54), że pytanie o pochodzeniu człowieka należy tylko do nauk przyrodniczych.

[3]) De Genesi ad literam, l. 6, c. 12.

wykażą, że człowiek powstał ze zwierzęcia? Najpierw nie wykażą nigdy, że dusza ludzka wyłoniła się ze zwierzęcej, bo to przekracza zakres ich badania, a psychologia racyonalna, do której zagadnienie o początku duszy należy, wykazuje, jak widzieliśmy, niewątpliwie, iż duch nasz nie mógł mieć początku zwierzęcego, ale powstał przez bezpośredni czyn stwórczy. Powtóre, jeśli chodzi tylko o ciało ludzkie, trzeba przedewszystkiem odpowiedzieć na pytanie, czy nauki przyrodnicze mogą udowodnić nasze pokrewieństwo z jakimkolwiek niższym ustrojem. Otóż sądzę, że taki dowód jest niemożliwy. Najwięcej stosunkowo zaważyłoby tutaj odkrycie kopalnych form przejściowych między zwierzęciem a człowiekiem. Atoli odkrycie to, gdyby istotnie było kiedy dokonane, przemawiałoby tylko za większem lub mniejszem (stosownie do ilości [owych form) prawdopodobieństwem, że ciało nasze jest dziełem ewolucyi. Bo i w tym wypadku podobieństwo między sąsiadującymi z sobą i nie odgraniczonymi od siebie wyraźnie członami szeregu, ciągnącego się bez przerwy przez różne utwory geologiczne, a kończącego się w dyluwialnym postacią ludzką, nie rozstrzygałoby stanowczo o zwierzęcem pochodzeniu człowieka. Późniejsze postaci albo powstałyby z wcześniejszych albo zjawiłyby się na ziemi bez wszelkiej od nich zależności. Prawdopodobieństwo pierwszego tłumaczenia mogłoby w pewnych warunkach być większe, atoli nikt nie miałby prawa twierdzić na pewno, iż drugie przypuszczenie jest niemożliwe. Przyznać wszakże należy, że w pierwszym wypadku byłoby rzeczą wskazaną odstąpić od dosłownego tłumaczenia tekstu biblijnego, a przyjąć znaczenie przenośne. Bóg byłby wówczas sprawcą ciała ludzkiego nie bezpośrednim, lecz pośrednim: dzięki włożonym przez Niego w materyę prawom, atomy utworzyłyby ciało jakiegoś ustroju, który, przyjmując (począwszy od komórki pierwotnej) coraz wyższe postaci przejściowe, doszedłby w końcu do takiej doskonałości, że mógłby się połączyć z duszą ludzką.

Czy to drugie tłumaczenie jest teologicznie dopuszczalne? Nauczycielski urząd Kościoła nie wydał dotąd ża-

dnego orzeczenia w tej sprawie[1]). Przeważna większość teologów obstaje stanowczo przy dosłownem znaczeniu słów Genezy, lecz są i tacy, którzy sądzą, że wolno w tem miejscu uczynić pewne ustępstwo teoryi descendencyi. Tutaj należą przedewszystkiem kardynał Gonzales, d'Hulst, Girodon, P. J. Mayer i Sertilanges. Nie sprzeciwiałoby się to, mniemam — pisze Girodon[2]) — wierze, gdyby ktoś powiedział, że ciało, przeznaczone dla pierwszego człowieka, było ciałem jakiegoś wcześniejszego zwierzęcia, które Opatrzność przemieniła w ciało ludzkie przez działanie praw powszechnych". „*Absolute loquendo* — są słowa Mayera[3]) — mógł i człowiek pochodzić co do ciała od zwierzęcia... Pismo św. mówi wprawdzie, że Bóg utworzył ciało Adama z ziemi, tj. z istniejącej materyi nieżywotnej, ale miejsce to dopuszcza dosłowne i przenośne znaczenie". „Co może przeszkadzać twierdzeniu —

---

[1]) Synod koloński z r. 1860 uczy: »Primi parentes a Deo immediate conditi sunt. Itaque Scripturae sacrae fideique plane adversantem declaramus illorum sententiam, qui asserere non verentur, spontanea naturae imperfectioris in perfectiorem continuo ultimoque humanam hanc immutatione, si corpus quidem spectes, prodiisse« (pars 1, tit. 4, cap. 4). Należy wszakże pamiętać, że dekreta soborów prowincyonalnych, mimo zatwierdzenia ze strony Stolicy Apostolskiej, nie mają powagi orzeczeń, wydanych przez prawnie odbyte sobory powszechne, lub Papieży, uczących *ex cathedra*; nadto synod koloński zdaje się, jak świadczą wy razy: »spontanea immutatio«, potępiać tylko tych transformistów, którzy wykluczają z ewolucyi wszelki wpływ Stwórcy. — Dnia 30. czerwca 1909 r. rzymska Komisya biblijna, której uchwały wierni są obowiązani przyjmować *cum assensu religioso*, wydała autentyczny dekret: »De charactere historico trium priorum capitum Geneseos«. W dekrecie tym powiedziano między innemi, że nie można powątpiewać o »znaczeniu dosłownem historycznem« tam, gdzie Geneza poucza o faktach, dotyczących fundamentów religii, np. o osobnem stworzeniu człowieka i utworzeniu pierwszej niewiasty z pierwszego człowieka (peculiaris creatio hominis; formatio primae mulieris ex primo homine). Dekret Komisyi nic nie mówi o utworzeniu ciała Adama.

[2]) Cytata według Frémont, dz. przyt., t. IX, str. 427.

[3]) Der teleologische Gottesbeweis und der Darwinismus, Moguncya 1901, str. 114.

pyta Sertillanges[1]) — że i ciało ludzkie pochodzi z ewolucyi, a przez ewolucyę od Boga, który jej dał początek i który nią kieruje?“ Co więcej, nie brakło takich, którzy, jak Jezuita Zahm[2]) i Dominikanin Leroy, oświadczyli się wyraźnie za zwierzęcym początkiem ludzkiego ciała. Ale od tych ostatnich odwrócił się ogół katolickich teologów. I słusznie. Poddaje się tylko pobity albo przewidujący niechybną klęskę; kto w podjętej słusznie walce ma wszelkie widoki zwycięstwa, temu, jeśli nie chce splamić swej czci tchórzostwem, nie wolno ani składać broni, ani się cofać z zajętej placówki.

X. Dr. Kazimierz Wais.

Katecheta wobec VI. przykazania.

Niema może kwestyi w nowszej pedagogii, częściej i gwałtowniej poruszanej, jak kwestya t. zw. uświadamiania płciowego. Powodem tego upadek moralności wśród młodzieży — upadek ten musi każdego wychowawcę zatrwożyć. W kołach t. zw. postępowych zaczęto szukać sposobów ratowania młodzieży. Znaleziono jedno, uniwersalne lekarstwo na tę epidemię, niszczącą życie i zdrowie młodzieży — a lekarstwem tem ma być usuwanie wszelkiej „pruderyi“, odsłonięcie dziatwie i młodzieży tajników życia płciowego, uświadamianie. Tym sposobem uratuje się młodzież[3]). Uświadamiania płciowego żądają zwłaszcza zwolennicy Haeckla w szkole i to w łączności z historyą naturalną, mianowicie w ten sposób, ażeby na każdym stopniu nauki zwracano odpowiednio uwagę na życie płciowe. Ustawiczne wciąganie człowieka do nauki o zwierzętach, mówią oni, przyczyni się do lepszego poznania tak człowieka jak

[1]) Les sources de la croyance en Dieu, Paryż 1905, str. 145.
[2]) L'évolution et le dogme, 2 t., Paryż 1897, t. II, str. 233.
[3]) Porów. artykuł Dr. W. Witwickiego w „Muzeum“ r. 1904.

i zwierzęcia, a z tego łącznego wnikania w ich budowę i funkcye życiowe wykwitnie przeczucie jednoty wszelkiego życia, pod jakąkolwiek ono objawiłoby się formą [1]). Żądanie to zamienił w czyn Dr. Józef Nusbaum. Idąc bowiem widocznie za temi wskazówkami zwolenników zwierzęcego pochodzenia człowieka, poszedł jeszcze dalej i w swej „Zoologii dla klas wyższych szkół średnich" umieścił ustęp o narządach rozrodczych. Że takie zestawienie człowieka ze zwierzęciem sprzyja wnikaniu w umysł młodzieży i rozszerzaniu teoryi o zwierzęcem pochodzeniu człowieka, to nie ulega kwestyi. Nie mniej jednak pewnem jest, że tego rodzaju uświadamianie nie przyczyni się do umoralnienia młodzieży. Trzeźwi wychowawcy, dbający prawdziwie o jej dobro, innego są zdania. Przytoczę jedynie, co mówi europejskiej sławy pedagog Dr. Förster o naturalistycznem uświadamianu płciowem młodzieży. Uwagi jego są trafne: „Pisarze ci wypełnili swoje wywody zanadto wyłącznie przyrodniczo-naukowemi objaśnieniami, co uważamy za rzecz w najwyższym stopniu wątpliwą. Człowieka zestawia się przez to zbyt ściśle z życiem roślinnem, zwierzęcem, gdy tymczasem istota wyjaśnień w tej dziedzinie musi właśnie na tem polegać, by z góry zawezwać cały świat podnioślejszych uczuć, które odróżniają człowieka od zwierzęcia i wywołują w nim pragnienie uwolnienia się od jarzma natury. Wprawdzie zajścia w świecie, stojącym niżej od człowieka, mają służyć do objaśnienia odnośnych faktów biologicznych, ale unikać należy wysuwania na samym wstępie właśnie tej strony biologicznej na plan pierwszy. Najważniejszą rzeczą jest nasunięcie dziecku myśli uświęcających, za pomocą których wieki zwolna podniosły łączenie się rodzajów po nad zwierzęcość i poddały ją światu duchowemu". (Dr Förster: Jugendlehre str. 605 wyd. z r. 1909). A dalej (str. 613) tak pisze: „Kto więc pragnie dać młodzieży właściwy pogląd na życie płciowe, niech nie ucieka się i niech nie przecenia objaśnień fizyo-

---

[1]) Stoller: Die sexuelle Frage und die Schule. Artykuł X. M. Jeża w „Dwut. Katech." z r. 1905 — str. 161.

logicznych, bo łatwo mógłby doprowadzić do tego, że młodzi ludzie zaczęliby uważać swoje popędy zmysłowe za głos Boży, zamiast mieć się przed nimi na baczności i pamiętać, że wola Boża daje znać o sobie w sumieniu, a nie w organach płciowych". Gdy na zjeździe pedagogicznym w Donauwörth w sekcyi dla szkół średnich podniesiono fakt, że w galicyjskich szkołach średnich zaprowadzono widocznie z polecenia c. k. Rady szkolnej uświadamianie płciowe w podręczniku szkolnym, a więc i w szkole, wszyscy obecni tam pedagodzy wystąpili przeciwko temu z protestem energicznym, zaznaczając, że sprawa uświadamiania należy wyłącznie do praw rodzicielskich. Rodzice do tego są jedynie powołani. Wyjątkowo mogą zastąpić rodziców obcy, wychowawcy, gdy dziecko rodziców już nie ma, albo rodzice są niezdolni do odpowiedniego pouczenia swej dziatwy. Szkoła zaś powinna odmówić formalnego pouczenia z przyczyn pedagogicznych. Stosunek między nauczycielem a uczniem nie jest zazwyczaj dość ścisły, niema między nimi węzła naturalnego, który jest podstawą tego szczególnego stosunku, jaki zachodzi między rodzicami a dzieckiem, a który daje szczególniejsze namaszczenie rodzicom do omówienia ze swemi dziećmi spraw najdrażliwszych.

Rozumni rodzice nie mogą i nie powinni pozwolić na to, aby im to prawo odebrano i powierzono je ludziom obcym, nie powołanym, nie mającym często żadnych kwalifikacyi duchowych. Ale i sami powinni swój obowiązek rodzicielski wypełniać: wprowadzać rozsądnie, z świętą bojaźnią dzieci swe w należyte rozumienie życia płciowego, które przemożny wpływ wywiera na całe życie moralne, na wyrobienie charakteru dziecka, na dolę lub niedolę przyszłych pokoleń [1]). Pozostawić dziecko w sprawach tak ważnych i doniosłych ślepemu losowi, to zbrodnia, wołająca o pomstę na rodziców. Dwa pytania interesują dziatwę najwięcej i to w wieku już bardzo młodym a mianowicie pytanie:

---

[1]) Porów.: L. Auer: „Einführung in ein richtiges Geschlechtsleben". Donauwörth-Bayern.

skąd się biorą dzieci i w jaki sposób otrzymują życie w łonie matki. Na te dwa pytania powinny dzieci otrzymać odpowiedź z ust matki, — odpowiedź prawdziwą odpowiednią do wieku i pojętności swojej. Zbywać dziecko zmyślonemi bajkami — to wielki błąd w wychowaniu. Żaden fałsz, żadne kłamstwo nie powinno wyjść z ust wychowawców, a zwłaszcza rodziców. Dziecko powinno słyszeć tylko prawdę, chociaż nie zawsze całą. Inaczej dziecko straci zaufanie do własnej matki i ojca i cześć dla nich. Podrażnione w swej ciekawości, poszuka gdzieindziej pouczenia i znajdzie niebawem mętne źródło uświadomienia u swych zepsutych kolegów czy koleżanek. Jakie tego następstwa, wspominać nie potrzeba.

Wprowadzenie młodzieży w prawdziwe zrozumienie życia płciowego to obowiązek ważny, ale i trudny. Cenne wskazówki, kiedy i w jaki sposób uświadamiać dziatwę, znajdą wychowawcy a zwłaszcza rodzice w książce E. Ernst'a: „Obowiązek rodzicielski“ (Poznań 1907. Księgarnia św. Wojciecha), przełożonej na język polski staraniem „Towarzystwa Opieki nad dziećmi katolickiemi“. Książka ta może oddać ogromne usługi katechetom i rodzicom. Wielką przysługę wyświadczy katecheta dobru ogólnemu, gdy w razie potrzeby wskaże ją rodzicom lub z własnej wypożyczy biblioteki. Nieraz będzie też musiał katecheta, jako spowiednik, zastąpić w tej tak trudnej sprawie rodziców. Pomocą wielką może być dlań broszura: Gatterer-Krus „Die Erziehung zur Keuschheit“. (Innsbruck. Verlag von Fd. Rauch).

Pewnego rodzaju „uświadomienie“ przeprowadza katecheta w szkole w katechezie o VI. przykazaniu. Ponieważ jest to rzecz bardzo ważna, dlatego chciałbym podać kilka uwag praktycznych, w jaki sposób możnaby się z tego zadania z pożytkiem dla młodzieży wywiązać.

Omówienie VI. przykazania należy do rzeczy trudniejszych, a przytem bardzo, a bardzo odpowiedzialnych, Wymaga dużo taktu, rozwagi. Sama już rzecz, omówienie kwestyi w pewnym stopniu drażliwych, onieśmiela wielu. Pewną trudność sprawia także brak odpowiednich wyra-

żeń, a stąd obawa, żeby zamiast pouczeniem swojem ugruntować dziatwę w zamiłowaniu św. czystości, tego zamiłonia co najmniej nie osłabić. Nie wolno jednak przerażać się trudnościami, nie wolno przedmiotu tak ważnego zbywać ogólnikami, nic nie mówiącymi frazesami, albowiem skutki takiego niedbalstwa czy obawy są zazwyczaj opłakane. Słusznie potępia Jungmann [1]) owe wszystkie ogólnikowe uwagi niektórych katechetów o VI. przykazaniu. Wyrażenie jego jest nieco ostre; mówi on bowiem: „Uważam to za szatańskie zaślepienie, jeśli duchowni, albo rodzice sądzą, że najłatwiej zachowają swoją młodzież w niewinności, nie mówiąc nic o grzechach jej przeciwnych, albo poprzestając na tego rodzaju ogólnikowych uwagach: dzieci kochane, pamiętajcie, abyście nie czyniły nic takiego, czegobyście się musiały wstydzić przed rodzicami lub starszymi. — Takie gadanie jest bez znaczenia. Dziecko wstydzi się wielu rzeczy, które są całkiem dozwolone. A zresztą dziecko w razie jakiegoś uchybienia rzeczywistego nie będzie się zastanawiać nad tem, czy zdanie katechety odnosi się do tego wypadku czy nie. Dzieci, to nie osoby starsze, myślące, zastanawiające się. One potrzebują jasnych, konkretnych wskazówek, pouczeń — abstrakcye nie są dla wieku dziecięcego. Takiem nierozważnem milczeniem o grzechach przeciw VI. przykazaniu zyska się tyle, że dzieci z tych grzechów nie będą się oskarżały przy św. spowiedzi, bo nie znają odpowiednich wyrażeń, sądzą, że o tych grzechach mówić nie wypada, a zwłaszcza dlatego, ponieważ sumienie ich na tym punkcie jest niewyrobione, spi. Długie lata tają, względnie zamilczają grzechy przeciw VI przykazaniu. A chociażby to były nawet tylko grzechy materyalne, to jednak wielka, niewypowiedziana stąd szkoda dla duszy dla charakteru“.

Opierając się na powyższych autorach [2]), podam kilka konkretnych uwag o VI przykazaniu w zastosowaniu do szkół

[1]) Theorie der geistlichen Beredsamkeit. Katechese III. wyd. str. 222.

[2]) Por. także artykuły „Münchener Kat. Blätter“. Rocznik. 1907—1910. Meyenberg: Homiletische und katechetische Studien

ludowych i wydziałowych. A mianowicie zastanowię się nad tem, jakie jest główne zadanie katechety odnośnie do VI. przykazania: kiedy i w jaki sposób ma katecheta tłumaczyć dziatwie VI. przykazanie.

a) Kształcenie sumienia.

Głównem zadaniem katechety odnośnie do VI. przykazania jest utrzymać dziatwę w czystości św., zabezpieczyć przed grzechami nieczystymi. Żeby osiągnąć ten cel, musi katecheta wyrabiać w dzieciach sumienie. Kształcenie sumienia to wogóle najważniejsze zadanie katechety, główny cel jego pracy. Sumienie, jak wiadomo, ma podwójne zadanie: osądzać, czy ten lub ów uczynek, który się wykonało, lub ma się wykonać, jest zgodny czyli niezgodny z prawem, a przeto dobry czy zły. Ale na tem sumienie nie poprzestaje; wywiera ono swój wpływ i na wolę, przestrzegając przed złem, zachęcając do dobrego (sumienie przeduczynkowe). Gdy zaś człowiek zgrzeszy, albo gdy odniesie zwycięstwo nad pokusą (sumienie pouczynkowe), upomina wyrzutami lub pochwala i napełnia radością (wesele dobrego sumienia).

Ażeby dziecko miało dobre sumienie, do tego nie wystarcza samo poznanie dobrego i złego. Trzeba działać głównie na wolę i na serce dziecka tak, ażeby stale brzydziło się złem, garnęło się do dobrego; odnośnie zaś do VI. przykazania, żeby brzydziło się grzechami nieczystymi, a ukochało całem sercem piękną cnotę czystości. Jeżeli katecheta uzyska to, spełni w zupełności swoje zadanie. Pracę zaś tę musi zawczasu zaczynać, musi zawczasu urabiać sumienie dziecka tak, aby to sumienie jasno mówiło dziecku, co i kiedy jest grzechem, wskazywało na niebezpieczeństwo grzechu, nawoływało je i przestrzegało przed możliwym upadkiem, — za każde zaś uchybienie surowo, bez litości karciło. Zaniedbanie tej pracy, kształcącej zawczasu sumienia, staje się powodem smutnych upadków. Cóż bowiem przyczynia się do tak łatwego uwodzenia dziatwy w wieku, w którym popęd płciowy nie odzywa się jeszcze, a względnie bardzo słabo? — Co sprawia, że jedna par-

szywa owca zaraża zepsuciem moralnem całą nieraz klasę? — Niewyrobienie sumienia. To także jest powodem, że dzieci, kiedy z własnego popędu lub zgorszone przez starszych, zaczynają grzeszyć przeciw VI. przykazaniu, albo się tem całkiem, albo bardzo mało niepokoją. Ukrywają się ze swymi grzechami starannie przed rodzicami; nieraz i przed Bogiem są całkiem spokojne, jak gdyby chodziło o rzeczy całkiem naturalne; dlatego modlą się po grzechu, bez żadnego zakłopotania tak, jakby się nic nie było stało[1]).

Jeżeli wogóle zasadą pedagogii jest nie czekać ze stosownem pouczeniem o obowiązkach moralnych do czasu, aż namiętności się wzmogą, a niebezpieczeństwo stało się wielkiem, to przedewszystkiem reguła ta odnosi się do czystości. Jeśli katecheta nie pouczy zawczasu, nie rozbudzi sumienia, nie przejmie wstrętem do grzechów przeciwnych VI. przykazaniu, to praca jego późniejsza może być całkiem daremna. (Dok. nast.).

X. Zygmunt Bielawski.

Warstaty studenckie.

Żadna może instytucya nie zaprowadziła u siebie w ostatnich lat dziesiątkach tyle zmian, co szkoła. Każdy prawie rok przynosi nowe rozporządzenia władz szkolnych, czy to pod względem zmiany planu nauki, czy egzaminów, czy podręczników.

Celem tych zmian jest wyszukanie jak najskuteczniejszych środków, aby szkoła ze swego zadania kształcenia i wychowywania młodzieży wywiązała się jak najlepiej. Chodzi mianowicie o to, aby w sposób jak najprzystępniejszy, najmniej wymagający wysiłku, podać młodzieży potrzebne wiadomości i to jak najwięcej, a równocześnie pomagać lub przynajmniej nie przeszkadzać fizycznemu jej rozwojowi.

1) Alban Stolz: Erziehungskunst.

Ale cóż, kiedy zdobycze ducha ludzkiego z każdym dniem wzrastają, więc i w szkołach materyał naukowy koniecznie wzrastać musi, praca umysłowa młodzieży się zwiększa a wskutek tego cierpi rozwój fizyczny.

Skarżą się wprawdzie dzisiaj ogólnie, iż młodzież nie wiele pracuje, owszem może mniej się uczy niż dawniej, ale to nie zmieni faktycznego stanu rzeczy, że dzisiaj uczeń musi więcej pracować, jeżeli chce dobrze przyswoić sobie przepisany materyał naukowy.

Wytężona zaś praca umysłowa odbija się ujemnie na fizycznym rozwoju dziecka, stąd troska przełożonych, jakby temu złemu zaradzić.

Zaprowadzono jednorazową naukę, aby młodzież miała więcej czasu do zabaw na wolnem powietrzu, a przez to powetowała straty, przez siedzenie w zamkniętych salach szkolnych poniesione. Ale czasu wolnego może użyć młodzież, zwłaszcza zostawiona bez nadzoru, zamiast na dobre, na złe, co niestety nie rzadko się zdarza. Więc wprowadzono wycieczki pod nadzorem profesorów, różne zabawy, a nawet sporty, aby młodzież mogła czas wolny od nauki przyjemnie spędzać i dobrze.

Ostatnimi czasy zwrócono uwagę zwłaszcza w szkołach średnich na nowy rodzaj zajęcia dla młodzieży w wolnych chwilach, a mianowicie na pracę ręczną, czy to w zakresie stolarstwa, czy ślusarstwa, introligatorstwa, a nawet sadownictwa i ogrodnictwa.

Dziwić sią tylko trzeba, dlaczego tak późno o tem pomyślano, kiedy gdzieindziej już dawno i z wielkim pożytkiem to stosują.

Nie mam zamiaru pisać historyi tych prac fizycznych, objętych u nas nazwą slöjdu albo warstatów studenckich, zwrócę tylko uwagę na ich użyteczność.

Weźmy najpierw pod rozwagę taką pracę jako czysto fizyczne ćwiczenie. Wiadomą jest rzeczą, że praca umysłowa nuży prędko i wyczerpuje, stąd wypoczynek jest rzeczą konieczną. Otóż bardzo dobrze nadaje się do tego umiarkowana i nie bardzo forsowna praca fizyczna, ręczna. Tu umysł pracować nie potrzebuje, bo strugać deskę, czy

obrabiać siekierą kawałek drzewa, nie wymaga natężonego myślenia, a za to ćwiczy się mięśnie i to pewnie lepiej i wszechstronniej niż przy miarowych ćwiczeniach gimnastycznych.

Praca w warstatach jest zajęciem przyjemnem. To nie jest praca przymusowa, uczeń robi z własnej chęci i robi to, co sobie upodobał, co sobie sam wymyślił, a jeżeli weźmiemy pod uwagę, że uczeń wykonuje przedmiot, który mu jest potrzebny, praca taka staje się i pożyteczną. Po takiej pracy chłopak z apetytem siada do stołu, spi dobrze, a przez to chroni się od zdenerwowania. To też niema dwóch zdań co do użyteczności pracy fizycznej pod względem higienicznym [1]).

Ale warstaty studenckie mają bardzo doniosłe znaczenie i pod względem moralnym, bo są środkiem, który chroni młodzież od wielu wybryków.

Najpierw czas wolny od nauki, zapełniony pracą fizyczną, nie jest wolny w tem znaczeniu, że chłopak nic nie robi, a więc nie będzie próżnowania, tego ojca wielu zdrożności. A dalej, chłopak wykonuje rzecz, którą albo sam obmyślił lub może wynalazł, a choćby nawet wykonał ją według gotowego planu, czy rysunku, ma umysł tem dziełem swojem zajęty a to chroni go od zgubnego marzycielstwa.

I nie boję się zarzutu, że przez to odciągnie się młodzież od książki, bo każdy, stykający się bliżej z młodzieżą, wie, że uczeń, który się uczyć nie chce, zawsze znajdzie sobie jakieś zajęcie. Dajmy mu więc pożyteczne, a uchronimy go od złego.

Wykonanie jakiegoś przedmiotu czy z drzewa czy z żelaza wymaga prawie zawsze wielkiej cierpliwości, wytrwałości i dokładności, a więc mimowoli uczy się chłopak tych cnót, które w życiu naszem wielką odgrywają rolę.

Wreszcie uczy się cenić pracę, nie patrzy na nią, jako na coś takiego, co człowiekowi wykształconemu ubliża,

---

[1]) Por. artykuł, zamieszczony powyżej p. n. „Wpływ pracy fizycznej“ itd. Dop. red.

nie będzie więc sobie lekceważył rzemieślnika, ale owszem będzie go cenił i poważał, bo pozna praktycznie jego pracę i znaczenie w życiu społecznem. A jeżeli dodamy, że praca czy przy warstacie, czy w ogrodzie lub sadzie, odbywa się pod okiem profesora, to możemy mieć pewność, że nie wkradnie się tam nic takiego, coby stało w sprzeczności z ideą dobrego wykształcenia i wychowania młodego pokolenia. Zawsze też prace tego rodzaju powinien dozorować profesor — nie zgodziłbym się na to, aby kierownictwo ich powierzano komu innemu, z po za grona profesorów, choćby to miał być człowiek fachowy. Nie chcę przez to kwestyonować niczyjej uczciwości i zacności, bo wszędzie można znaleźć ludzi prawych, jak znów żaden stan czy zawód nie bywa wolny od ludzi nieuczciwych, ale za wychowanie młodzieży jest odpowiedzialną szkoła, o ile to od niej zależy, a więc powinna wszystko, cokolwiek w sprawie wychowania młodzieży zarządza w swoim zakresie, przez członków swego grona profesorskiego wykonywać.

Nie widzę zaś wielkiej trudności w tem, że może nie znajdzie się w gronie człowiek, specyalnie uzdolniony do prowadzenia warstatów. Pracownie bowiem takie — według mego zdania — nie są na to, aby ucznia kształcić fachowo czy w stolarstwie czy w innem rzemiośle, ale chodzi o to, aby chłopcu dostarczyć przyjemnej i pożytecznej rozrywki. Prawda, że kierownik musi się trochę na robotach rozumieć, bo musi w danym wypadku chłopcu poradzić, pewnych wskazówek udzielić, ale na to nie trzeba koniecznie aż fachowego wykształcenia.

Sądzę, że w takich warstatach należy ile możności zostawić chłopca w wykonywaniu robót własnemu jego sprytowi, bo to dopiero sprawia człowiekowi przyjemność, gdy w wykonaniu pewnej rzeczy użył własnej inwencyi. Niewątpliwie kierownik fachowy może podawać chłopcu sposób już wypróbowany, najprostszy i najprędzej do celu prowadzący, ale przez to pozbawi go tej przyjemności, jaką mu sprawia własne mozolenie się nad wyszukaniem odpowiedniej drogi do zamierzonego celu. Tu nie chodzi przecież o to, aby chłopak w krótkim czasie dużo zrobił,

ale aby się dobrze zabawił. Dzisiaj już mamy znaczny zastęp profesorów, którzy takie pracownie prowadzą, chociaż nie wszyscy kończyli specyalne kursa, a jeżeli przyjdzie do skutku uchwała ostatniego zjazdu kierowników warstatów studenckich, aby urządzono dla profesorów a nawet już dla słuchaczy filozofii odpowiednie kursa przy warstatach Ligi przemysłowej, to wkrótce będzie już nie trudno o dostateczną liczbę kierowników.

Jest jeszcze i inna racya, przemawiająca za warstatami studenckimi, którą poruszono na wspomnianym wyżej zjeździe, a z którą, myślę, niejeden się zgodzi.

Wiele się mówi o tem, że młodzież naszych szkół średnich marzy tylko po skończeniu studyów o posadach c. k. lub wogóle takich, gdzieby pensya zapewniała wygodne życie na stare lata, albo na wypadek niezdolności do pracy, a mało garnie się do przemysłu. Wołamy o uprzemysłowienie kraju, a nie mamy dostatecznej liczby odpowiednich sił.

Żeby warstaty studenckie mogły tę kwestyę rozwiązać, w to chyba nikt nie wierzy. Ale mogą wiele w tym względzie pomódz. Wiemy, że często są ludzie uzdolnieni w pewnym kierunku, którzy jednak nie mają sposobności tych zdolności rozwinąć i wskutek tego „marnują się“, jak to się zwykle mówi. Jest wielu pomiędzy uczniami szkół średnich zdolnych mechaników. Jeżeli więc chłopak ma sposobność rozwijać w sobie tę zdolność i — co z tem w parze idzie, — zamiłowanie do zawodu praktycznego, to prędzej wyrzeknie się karyery urzędniczej, bo wie, że dzisiaj są pewne działy rzemiosła, których się i wykształceni nie wstydzą i będzie się tego imał. Dzisiaj na polu elektrotechniki, chemii, awiatyki, samochodów i t. d. jest tyle wdzięcznego zajęcia dla człowieka wykształconego, że jest w czem wybrać.

Także ogrodnictwo, czy sadownictwo ma zwłaszcza u nas ogromne znaczenie społeczne. Wszak i dzisiaj wielu ludzi wykształconych tym działem pracy się zajmuje i niejeden urzędnik nawet stara się o to, aby mieć swój domek a przy nim bodaj kawałeczek ogrodu. Różne są tego powody, ale

między innymi i ten, że chce sobie posadzić kilka drzewek owocowych, posiać kwiatków, jarzyny, by w wolnych od zawodowej pracy chwilach te drzewka pielęgnować, te kwiatki czy jarzyny podlewać i mieć z tego i przyjemność i pożytek. A że kto z zamiłowaniem pracuje w pewnym kierunku, jest zwykle jego gorącym propagatorem, więc taki urzędnik-sadownik, czy ogrodnik będzie przy każdej sposobności zachęcał do sadownictwa, będzie o niem pouczał, a w ten sposób odda społeczeństwu niemałe usługi.

Choćby więc tylko tyle dało się powiedzieć na korzyść warstatów studenckich, wystarczyłoby to już m. zd., żeby każdy, kto tylko może, starał się o jak największe ich rozpowszechnienie. *X. W. L.*

Z wiedeńskiego kursu dla homiletyki.

Wiązanka wspomnień.

„*Verbum Dei non est alligatum*“.

Skrzyknąć całe pół tysiąca księży (bez zaokrąglenia!), nie na komers, nie na zjazd koleżeński ani na zlot sportowy, lecz na poważne i męczące obrady, które przez trzy dni trwały po $6^1/_2$ godzin dziennie, nie w lecie, nie w czasie wakacyi, lecz w zimie i w ciągu „roku“, bez zniżki ceny jazdy, bez dyet, lecz nawet za opłatą, nie w promieniu kilkunastu kilometrów, lecz z całej Austryi, nie wyłączając Galicyi i Bukowiny, z Szwajcaryi, Bawaryi i z nad Renu — czy to nie sztuka? A potem skupić ich uwagę i przykuć w czasie kursu tak, żeby słuchali wykładów cicho, jakby makiem posiał, bez oznak zmęczenia, mimo trudu dwukrotnej przez 3 dni pielgrzymki z mieszkania do dalekiej dzielnicy wiedeńskiej, żeby robili notatki, oklaskiwali prelegentów, debatowali żywo — to chyba niezwykłe. Kto tego kunsztu dokonał, kto za tem wszystkiem „stał“? Reklama? — Broń Boże! Bez niej gdzieindziej dziś prawie nic nie chce się udać! Tu jej wcale nie było; było proste ogłoszenie w jednej i drugiej gazecie kościelnej. Reklamę zastąpiła tu sama idea i sama się zareklamowała. Do zlotu wołała wielka nasza i piękna unitas catholica, miłość idei i poczucie konieczności radzenia nad wielkiemi potrzeba-

mi chwili. Bezpośrednio zaś przygotowały kurs homiletyczny dwa prawdziwe czyny, t. j. dwie książki — dobra książka dziś jest prawdziwym czynem; — jedna odnosi się wprost do tematu kursu, druga porusza kwestye pokrewne na tle obszerniejszem. Tą drugą jest „Grosstadtseelsorge“ X. prałata prof. Dra H. Swobody, zeszłorocznego rektora uniwersytetu wiedeńskiego, który też był spiritus rector kursu. Jak stwierdził na wieczorku powitalnym X. Dr. Donders z Monasteru, książka ta daleko po za granicami Austryi podziałała jakby hasło wielkie, albo jak kamień, rzucony w spokojne zwierciadło wody: wstrząsnęła i rozbudziła, sprawiając, że niejeden przetarł sobie oczy, jakby po śnie głębokim, zniewalając do refleksyi i zdrowej krytyki.

Myśl jej przewodnia jest taka: nieznane do niedawna, a teraz tak potężnie rozwinięte formy życia w naszych nowoczesnych wielkich miastach potrzebują nowych form i sposobów sprawowania urzędu duszpasterskiego w ogóle, tej ars artium; nie trzeba nowych rzeczy i nowej treści, lecz tylko nowych form. — Niedługo po nim odezwał się nie gorszy mistrz pióra, Msgr. Stingeder, b. kaznodzieja katedralny w Lincu i w książce p. t. „Wo steht unsere heutige Predigt“?[1]) położył palec na jedno słabe miejsce w dzisiejszej pastoryzacyi, uzupełniając w tym kierunku X. prałata Swobodę. Według Stingedera tą słabą stroną jest kaznodziejstwo, które według X. biskupa Kepplera i profesora Meyenberga choruje na „suchoty homiletyczne“, czyli na ignoratio Scripturarum. „Ożywić duszpasterstwo w ogóle za pomocą pastoryzacyi indywidualnej, przez ściślejszy kontakt między pasterzami a owieczkami!“ Tak zawołał X. prałat Swoboda. Msgr. Stingeder dodał szczegółowe hasło: „Ożywić jedną część duszpasterstwa, t. j. kaznodziejstwo, duchem Pisma św., za pomocą lepszego kontaktu z Biblią i z życiem zarazem!“ Hasło to zresztą wydał nie kto inny, tylko taki święty Klemens Marya Dworzak, kiedy bez ogródek powiedział ze względu na swoje czasy, że „das Evangelium muss ganz neu gepredigt werden!“ „Neu“ w tem znaczeniu, w jakiem te słowa Świętego powtórzył X. prałat Swoboda, tj. że wtenczas Ewangelia będzie głoszona w nowy sposób, jeśli kaznodzieje wrócą do Ewangelii starej, tej naszej Ewangelii dawnej i jej się wiernie trzymać będą!

W ten sposób powstał główny temat dla kursu: kaznodziejstwo dzisiejsze wobec Pisma świętego.

Ten temat pociągnął mnie razem z innymi, którzy tak samo jak ja nie należą do „cechu“ homiletyków, do Wiednia. Bo jakże

---

[1]) Zob. „Gaz. kośc.“ Nr. 2 (1911). — Książka ta po niespełna jednym roku została wyczerpana w pierwszem wydaniu (1500 egz.!) i obecnie wyszła w drugiem, przerobiona.

nie jechać tam, gdzie ma być mowa o sprawie, która nie od wczoraj człeka dręczy: na co my się uczymy Pisma świętego, ku czemu służą nasze „biblica“, skoro faktycznie całe skarby n. p. Proroków i ksiąg dydaktycznych Starego i Nowego Testamentu potem „na parafii“ leżą odłogiem, zamknięte w dużych tomach Biblii X. Wujka wydania X. Kozłowskiego, które zaprószone spoczywają na półkach? Broń Boże, byśmy mieli utyskiwać nad brakiem protestanckich bezbożnych Bibelleserów: dzięki Bogu wiemy dobrze, jakie jest stanowisko Biblii, jaka jest norma proxima i remota, jaka jest regula fidei i jakie zajmuje miejsce Pismo św. jako źródło wiary i objawienia. Przy tem wszystkiem jednak otwarcie stwierdzamy, że o stosunku naszych „studyów biblijnych“ do całości studyów teologicznych, zwłaszcza zaś do działu teologii „praktycznej“, dałoby się nieco powiedzieć. Ale o tem może potem. Teraz mówmy o naszych wrażeniach wiedeńskich. O wrażeniach, bo nie piszemy sprawozdania ścisłego: to wyjdzie kiedyś drukiem. Zresztą czytelnikom i tak może milsze to będzie, niż suchy referat.

Tam, gdzie podobno członkowie i zwolennicy zasłużonego austr. Towarzystwa Leonowego (Oesterr. Leogesellschaft), pod którego auspicyami i za którego sprawą kurs przyszedł do skutku, urządzają schadzki, w „sali rycerskiej“ gospody „Johanneshof“ przy ulicy Johannesgasse — tą ulicą szedł niegdyś kondukt pogrzebowy św. Klemensa Maryi — mieli się po pierwszy raz zobaczyć uczestnicy kursu.

I zaczęli zaraz napływać licznie. Tak licznie, że prezes komitetu musiał już teraz ogłosić, że kurs z powodu braku miejsca dla niespodziewanie wielkiej liczby na uniwersytecie nie może się odbyć, jak początkowo zamierzano, lecz musi się przenieść do dużej sali Stowarzyszenia katol. czeladników przy Gumpendorferstrasse w dzielnicy VI. Wielu byłoby wolało pójść na uniwersytet, bo w ten sposób byłby się także zewnętrznie zaznaczył naturalny związek kursu z uniwersytetem; ale ostatecznie cieszono się przecież, że zmiana miejsca nastąpiła z powodu tak pocieszającego, jakim była wielka liczba kursowców.

Więc witają się dawni znajomi, przedstawiają się nawzajem nie znający się sąsiedzi u stołu; następuje wymiana wrażeń i wspomnień, ściskanie dłoni, robi się gwarno, jak w ulu, a swobodnie, jakby w domu: catholica unitas. Wtem wchodzi na salę biskup, potem jeszcze drugi i prałat-kanonik i zajmują miejsce wśród spożywających kolacyę przyjezdnych „braci“. Wnet odezwały się oficyalne mowy powitalne. X. prof. Dr. Schindler wita przybyłych w imieniu inicyatorki, t. j. „Leogesellschaft“: ambona musi dziś walczyć z konkurencyą ze strony prasy i ze strony innych „ambon“ na świecie; dlatego na ambonie muszą stać coraz to lepiej wyszko-

leni mowcy, a Leogesellschaft chciała się w tym kierunku przyczynić do podniesienia poziomu wyrobienia homiletycznego. X. biskup-sufragan Zschokke, szef sekcyi w ministerstwie wyznań i oświaty, przyniósł pozdrowienie w imieniu tegoż ministerstwa, co szczególnie wdzięczne echo uznania i radości wywołało wśród zebranych. W zastępstwie miejscowego arcybiskupa-koadjutora przywitał zgromadzonych X. kanonik-prałat Dr. Müller: znakomity mowca — zwłaszcza pod względem wygłoszenia — pogratulował komitetowi, że za wzór dla uczestników kursu postawił Świętego (Klemensa) i wielkiego homiletę zarazem (Veitha): nieodzowne, stanowcze bez kompromisów dążenie do własnego uświęcenia powinno się łączyć z poważnemi dążeniami naukowemi, bo tylko taki kapłan i kaznodzieja, który przy osobistej świętości posługuje się wszystkimi środkami prawdziwej nauki, odpowie dziś całemu ogromowi zadań. Potem powstał prezes komitetu, na którego zwrócona była uwaga od samego początku i z właściwem sobie młodzieńczem zacięciem i humorem wyspowiadał się z trudów i znojów, ponoszonych przez inicyatorów zlotu, zdradzając kilka szczegółów z dziejów idei kursowej. W słynnem miejscu „odpustowem“ Maria-Zell zebrało się doraźnie kilku „pastoralistów“ na rodzaj dobrowolnych rekolekcyi „fachowych“, o których mowca stanowczo twierdził, że działają bardzo „zdrowo“, i zalecał je gorąco kolegom od innych „fachów“: tam rzucono po raz pierwszy myśl zwołania kursu. Wyszła ona od znanego już w kołach katechetycznych X. Pichlera: człowiek to niepokaźny, małego wzrostu, ale oczy bystre i sposób mówienia zdradzają duże zasoby energicznej inicyatywy. Szereg przemówień zamknął pozdrowieniem z „zagranicy“ syn „czerwonej ziemi“, Westfalczyk X. Dr. Donders, postać nad wyraz sympatyczna. Sam będąc mistrzem misternie wycyzelowanego essay religijnego [1]) i znawcą wielkich wzorów kaznodziejstwa patrystycznego, przybył do Wiednia z odczytem, a na wieczorku powitalnym w dźwięcznym akcencie westfalskim i płynnie wyraził wdzięczność dla Leogesellschaft i dla Msgrów Stingedera i Swobody. Bo jeśli kto, powiedział, to dzisiejszy kaznodzieja ma sprawę ze zmienionymi a tak wielorakimi warunkami życia i jego wielokształtnemi potrzebami. Te zrozumieć, liczyć się z niemi, zapobiegać im, to znaczy spełniać wolę Bożą, która do nas także przez stosunki i potrzeby chwili przemawia. „Vox temporis, vox Dei“, oto słowa, które wyświęcony w tych dniach biskup obrał sobie za dewizę pracy apostolskiej. Dlatego inicyatorowie kursu dobrze uczynili, dając licznym kapłanom sposobność do pogłębienia wiedzy i zbogacenia się w myśli, aby tem

---

[1]) Zob. jego świeżą prześliczną książeczkę p. t. „Heimkehr“. Stille Gedanken. 8⁰ XVI. u. 453 S. M. 1·20 M. Gladbach 1910.

lepiej mogli podołać tak ciężkim i wszechstronnym obowiązkom w chwili obecnej.

Po tem przemówieniu wnet opróżniła się sala rycerska Johanneshof'u.

Umyślnie napisałem obszerniej o tym wieczorku powitalnym, bo on stworzył odpowiedni nastrój, dał kursowi sygnaturę i stał się dobrem preludyum.

Nadzieje nie zawiodły. Widać to było zaraz przed pierwszym odczytem. Już przed godziną 9. rano 14. lutego wypełniła się sala więcej niż czterema setkami słuchaczy rozmaitych „odcieni". Było tam wszystko: od wikarego, katechety i proboszcza wiejskiego, aż do prałatów i biskupów, obok suplencików i profesorów — widziałeś mistrzów nauki z seminaryów i wszechnic, wśród czarnych rewerend i sutanel były białe, czarne i niebieskie habity i sutanny razem z „kawową" barwą kapucyna i galicyjskiego Bernardyna. Nie zabrakło też hofrata z ministeryum wyznań, na którego ręce przewodniczący złożył podziękowanie za udzieloną kursowi subwencyę, co zgromadzeni przyjęli gromkimi oklaskami, podobnie jak przesłane kursowi pozdrowienia sędziwego Kard. Gruszy.

Rozpoczął się zasadniczy odczyt o „Piśmie św. jako źródle materyału kaznodziejskiego". Pod względem formalnie-zewnętrznym odczyt ten X. Gatterer'a, b. profesora homiletyki, liturgiki, katechetyki, pedagogiki i metodyki na uniwers. insbruckim, mógł poniekąd rozczarować: Gatterer nie jest „mowcą". Natomiast pod względem treści każde zdanie mogło pójść na wagę złota. Temat tego odczytu ma wprost podstawowe znaczenie: dlaczego i o ile Biblia powinna i może stanowić źródło dla kaznodziei? Odpowiedź na to pytanie znajduje się w Jungmann-Gatterer'a[1]), ale dobrze się stało, że za pośrednictwem żywego słowa przypomniało się te zasadnicze prawdy odrazu pół tysiącowi głosicieli Słowa Bożego. Referat uwzględniał obszernie to, co spowodowało kurs wogóle: jakie zadanie ma spełnić homiletyka wobec warunków i potrzeb doby obecnej? Odpowiedź: ożywić się za pomocą Pisma św. Bo ludzkość dzisiejsza nie ma zasad, a tak ich potrzebuje, skoro się karmi gazetą i znowu gazetą, o której wiadomo, jak okropnie grzeszy brakiem wszelkich zasad życiowych. Pismo zaś święte właśnie ma takie zasady. Człowiek dzisiejszy, mimo swego „oczytania", a raczej właśnie z powodu formalnego pożerania rozmaitych „literatur", nie ma wielkich myśli, jest bezmyślny, skutkiem zaś tego okropnie powierzchowny, płytki, próżny, trzyma się ślepo zewnętrznych pozorów. Ludzkość dzisiejsza przecenia kulturę umysłu, raczej fantazyi i pamięci i staje się dlatego zblazowaną, pessymistyczną i ma w sercu próżnię: trzeba jej pokazać postaci o wiel-

[1]) W znanej książce p. t. „Theorie der geistl. Beredsamkeit".

kich i silnych uczuciach, o ideałach górnych, z zapałem trwałym, z afektami mocnymi, z męską miłością ideałów prawdziwych. To wszystko w bogatej mierze znajduje się właśnie w Piśmie św., które nadto jest nacechowane szlachetną prostotą i praktycznością, czego dziś wszyscy pragną, czasem aż przesadnie.

Ale Pismo św. to rzecz „znana“ (?), „przestarzała“, a ludzie chcą ciągle czegoś nowego, ciekawego, coby ich zaelektryzowało. Otóż kaznodziei powinno chodzić nie tyle o to, żeby ludowi podać dosłownie tekst biblijny, znane zdarzenia biblijne, bo pod tym względem Biblia także się wyczerpie — ile raczej o przemawianie w duchu Pisma św.: myśli i treść Pisma św. powinny stanowić punkt wyjścia, być duszą przemówienia, a pod tym względem Pismo św. nigdy wyczerpane być nie może. Więc czytać, czytać i jeszcze raz czytać Pismo św., ale nie koniecznie tylko w „Biblii“, lecz „czytać“ je w rozmyślaniu i przy odmawianiu brewiarza; potem, co jest bardzo ważne, czytać także w domu teksty mszału i ksiąg liturgicznych wogóle, a nie na ostatku, lecz może po „Biblii“ na pierwszem miejscu, studyować dekrety Stolicy świętej, Soboru trydenckiego i katechizm rzymski, tę książkę złotą, przez Papieży i Sobory tak umiłowaną, a nieraz tak zaniedbaną przez nas. Takie „czytanie“ Pisma św. w celach homiletycznych w tych „bezpośrednich“ źródłach naszej wiary jest poniekąd jeszcze ważniejsze i korzystniejsze od właściwego czytania samego tekstu biblijnego w druku. Dlaczego? Bo ta metoda jest właściwie katolicką, polega na dogmatycznie prawdziwem zapatrywaniu się na Pismo św. i jest praktyczniejszą. Pismo św. bowiem jest „własnością“ Kościoła, „cuius est judicare de vero sensu et interpretatione Scripturae“, a właśnie w brewiarzu, w rytuale itd. wypowiada Kościół swe zdanie o znaczeniu Pisma św. Nadto mszał, brewiarz, Sobory itd. mają Pismo św. już aplikowane do przeróżnych warunków jednostki i ogółu i jeśli gdzie, to właśnie w tych „źródłach“ występuje na jaw cała głębokość Pisma św. i właściwy duch jego, do którego nie dotrzesz nigdy przy zwyczajnem czytaniu Biblii, choćbyś miał nie wiem jak uczone komentarze pod ręką. Powiem nawet, że właśnie te uczone komentarze, zwłaszcza nowsze, zamiast ci odsłonić właściwą duszę Pisma, raczej zakryją ją przed tobą, kiedy jej właśnie najbardziej potrzebujesz ad aedificationem doctrinae christianae.

Z prawdziwą wdzięcznością przyjąłem właśnie tę część odczytu X. Gatterera.

Rozumie się, że pożądaną byłoby rzeczą, gdyby lud wierny poznał także samo brzmienie tekstu biblijnego za pośrednictwem pasterzy. W tym celu na końcu zalecił X. Gatterer częste homilie i odbywanie t. zw. „godzin biblijnych“, z których np. protestanci obficie i skutecznie w tym kierunku korzystają.

Plan wykładów znakomicie był obmyślony przez komitet. Bo po referacie pierwszym, który tak wybornie przedstawił stosunek Biblii do homiletyki ze strony materyalnej, drugi odczyt Msgra Stingedera poświęcony był dowodowi, że Pismo św. także pod względem formy jest niewyczerpaną kopalnią i niedoścignionym wzorem dla kaznodziei.

Teza ta na pierwszy rzut oka może wygląda zbyt śmiało. Jednakże jest aż nadto prawdziwą, jeśli się uwzględni wszystkie czynniki, które się składają na to, co się nazywa stroną formalną kazania. Stingeder z równem mistrzostwem jak w swej książce połączył krytykę z dodatniemi wskazówkami. Krytyka: kaznodziejstwo nasze obecne grzeszy przeciw kardynalnej zasadzie homiletyki i przeciw bezpośredniemu celowi własnemu, który polega na tem, żeby wzniosłe prawdy religijne uprzystępnić w s z y s t k i m słuchaczom, a zwłaszcza słuchaczom przeciętnej miary. Kazanie posługuje się w tym celu dowodami i licznymi środkami sztuki oratorskiej. Tymczasem dowody bywają zbyt doktrynalno-intellektualistyczne, mdłe, płytkie i słabe: jest w nich za wiele uczonej dogmatyki, terminologii ze sali wykładowej, za dużo abstrakcyi filozoficznej, tego wroga bezpośrednio skutecznej siły działania na całego człowieka. Środki zaś krasomowcze i patos homiletyczny bywają albo za mało używane, albo nadużywane. Otóż w jednym i drugim kierunku głębsze wniknienie w ducha Pisma św. byłoby skutecznem lekarstwem na te niedomagania. Bo formy oratorskie Pisma św. będą po wieczne czasy wzorami, gdyż odpowiadają w zupełności treści i celowi homilii, tj. zbudowaniu umysłu i serca ludzkiego zarazem. Mowca zwrócił uwagę przedewszyztkiem, ma się rozumieć, na niedościgniony ideał oratorski Chrystusa Pana, Apostołów, zwłaszcza św. Pawła — naturalnie, no i Proroków. Ach, tak, Proroków! Kiedy mówił o wspaniałym majestacie słów Proroków z ich bogactwem środków illustracyjnych, to aż dobrze się robiło w duszy. Św. Paweł powinienby nas nauczyć aktualności i potężnej argumentacyi specyficznie chrześcijańskiej. Gdy zaś na przykładach wykazywał popularność iście Boską, z niebiańską prostotą, naturalnością, wyrazistością i serdecznością w naukach naszego Boskiego Mistrza i przeciwstawił im sztywną sztuczność, fachowe pojęcia i trącącą katedrą profesorską suchość naszych kazań, to w suchym i spokojnym zresztą głosie prelegenta drgała nuta cieplejsza, która pochodzi z rzewnego przejęcia się przedmiotem. Rozumie się, że i tu należy się wystrzegać mechanicznego naśladownictwa, bo „litera occidit, spiritus autem vivificat".

(Dok. nast.)

X. Jan Korzonkiewicz.

Rozruchy studenckie w Krakowie i hasło „Wolnej Szkoły“.

(Dokończenie).

Hasło „wolnej szkoły“, głoszone przez młodych anarchistów krakowskich, wypisał także, jako swój tytuł, nowy miesięcznik, który z początkiem r. b. zaczął wychodzić we Lwowie pod redakcyą Dra Mieczysława Orłowicza. Chciałby on „wyzwolić system nauczania z pod wpływów obcych, nic wspólnego z nauką nie mających, z pod wpływów państwa, Kościoła i stronnictw politycznych“. „Obecna“ bowiem „szkoła jest złą... a zasadniczym celom wychowania nie służy“ (Zeszyt I. str. 1). Przedewszystkiem zaś trzeba z niej usunąć religię. Kościół uzurpuje sobie bezpodstawnie wyższość nad państwem, które ma „poddawać się wszelkim żądaniom i uroszczeniom jego, jako prawom boskim“ (ib. str. 19). Ale już na całej ziemi rozpoczęła się walka, która ma obalić dotychczasowe „panowanie“ Kościoła, a zwłaszcza postępy ciągłe socyalizmu uprawniają redakcyę „Wolnej Szkoły“ do najpiękniejszych nadziei:

„I u nas skupiać się też zaczynają żywioły postępowe. Energicznie rusza się anti-zimermaniada; organizują się grupy wolnomyślne, tworzą się ogniska niefałszowanej oświaty, a co najbardziej wzmacnia wiarę w piękniejsze jutro: krzepnie i utrwala się „skała“, na której wzniesie się gmach przyszłości, dojrzewa umysłowo i politycznie lud wiejski, zorganizowany proletaryat miejski rozpoczyna walkę na całej ziemi i we wszystkich kierunkach ze wszystkiem, co stare, zmurszałe w życiu gospodarczem, społecznem, politycznem i duchowem. A gdy ruch na wszystkich polach taki faktyczny stworzy stan rzeczy, wtedy padną wszystkie ustawy, co przeczyć mu będą i wszelka nieproszona opieka nad życiam ludów usuniętą zostanie“ (ib. str. 23).

Dalej zajmuje się niejaki Jasnota (oczywiście pseudonim) „nauką religii w szkole galicyjskiej“ malując wpływ i wyniki tego nauczania i całą działalność katechetów jak najczarniejszemi barwami. Oto „podręcznik dla nauki religii przynosi dziecku już gotowe, utarte pytania i utarte, drukowane na nie odpowiedzi. Dziecko nie tylko, że umysłu swego rozwijać nie może, ale przez mechaniczne wtłaczanie tak pytań jak i odpowiedzi, obciąża go niejasnym i niezrozumiałym balastem, a poza tem przyzwyczaja się do bezmyślnego przyjmowania wiadomości, co staje w sprzeczności z najprymitywniejszemi zasadami pedagogicznemi, z najskromniejszymi wymogami wychowawczymi i tem-

samem burzy cały gmach zabiegów pracy i zdobyczy na polu wiedzy pedagogicznej. Jeżeli ponadto zważymy, że kierunek wychowawczo-religijny rozpoczyna się od czasów przedszkolnych, od chwili, kiedy niemal pierwsze dźwięki mowy dziecka się odezwą — to zrozumiemy, że dalszy ciąg jego w szkółce froeblowskiej, szkole ludowej i średniej — przyczynia się stale do ubezwładnienia aparatu myślowego dziecka i obniżenia jego władz duchowych do roli bezmyślnej machiny“ (ib. str. 26).

„A już ze względu na wychowanie moralne — na wyrobienie w młodem pokoleniu nieugiętych, silnych charakterów — na wywołanie poczucia sprawiedliwości i umiłowania prawdy, jakże szkodliwie wpływa nauka religii nie tylko w formie ale i treści swej i paraliżuje niemal wszelkie prace zapobiegawcze w tym idące kierunku. Bo i czy może być mowa o wyrobieniu silnego charakteru w młodej istocie, jeśli wszelkie odruchy myślowe łamią się o nadane im z góry nakazy, jeśli wpaja się w nią przekonanie, że tylko pokora ducha prowadzi do wrót wiecznej szczęśliwości, a uległość wszelkiej władzy, względnie przemocy jest w imię zasad religijnych nakazaną“ (ib. str. 27).

Uprzedzenie i niechęć do Kościoła i religii zaślepia młodego zapewne autora tych elukubracyi tak dalece, że nie widzi faktów, które są dla innych oczywiste. Wiemy przecież wszyscy, że w dzisiejszej szkole galicyjskiej nie tylko nie można stwierdzić „ubezwładnienia aparatu myślowego“ u młodzieży, że nauka religii nie tylko nie czyni jej niezdolną do samodzielnych rozumowań, ale raczej znamionuje znaczną część, jeżeli nie większość naszych uczniów dorastających przesadny i zuchwały krytycyzm, który sprawia, że nie przyjmują z należnem poszanowaniem słów katechety i innych nauczycieli, a za to wolą ulegać wpływom agitatorów wolnomyślnych. Wiemy też, jak mała stosunkowo liczba słuchaczy naszych uniwersytetów chce należeć do stowarzyszeń katolickich. Zapewnienie autora, że „praktyki religijne, nauka religii, groźna powaga, otaczająca księdza, nadają szkole raczej charakter instytucyi dla wykształcenia religijnego, stawiając inne przedmioty w cieniu ubocznym“, (str. 28) sprzeciwia się w sposób rażący faktom, znanym każdemu, kto przypatrzył się bliżej naszemu szkolnictwu: z wyjątkiem tych szkół średnich, których kierownicy są ludźmi głęboko wierzącymi, nie można dziś niestety mówić o dominującej powadze religii w naszych gimnazyach i szkołach realnych.

Nie jest też prawdą, że wychowanie religijne nie wytwarza silnych, szlachetnych charakterów (jak pisze autor), owszem — dzisiejszy zanik charakterów trzeba przypisać właśnie wychowaniu „liberalnemu“.

W zeszycie II (za luty rb.) twierdzi znany darwinista p. B.

Dybowski, że „myśl krępują wszystkie kulty religijne“ i że „człowiek wolnomyślący“ musi odrzucić wszelką wiarę. Dalej uderzają inni współpracownicy pisma na ministra Stürgkh'a, nazywając go zacofanym „klerykałem“, oświadczają się za zniesieniem „ćwiczeń religijnych“ w szkole, a zwłaszcza za uwolnieniem nauczycieli od obowiązku dozorowania dziatwy w kościele i na procesyi itd.

Wogóle widoczną jest rzeczą, że pismo redagowane jest w duchu masońsko-socyalistycznym i że może wywrzeć wpływ bardzo szkodliwy na młodzież. Panuje w niem duch ten sam, który kazał w Krakowie setkom słuchaczy uderzyć na uniwersytet i zażądać usunięcia X. Zimmermanna. Jest to agitacya antyreligijna, która występuje coraz śmielej i coraz szersze zatacza kręgi. Wobec tego musimy domagać się z jednej strony od rządu i od rady państwa użycia środków, któreby położyły tamę tej agitacyi — z drugiej zaś strony powinny hasła „Wolnej szkoły“ stać się dla całego duchowieństwa podnietą do nowych wysileń w obronie religii. W szczególności musimy dążyć do tego, żeby we Lwowie i w Krakowie głoszono w niedziele i święta osobne a dobre nauki dla słuchaczy uniwersytetu i żeby ci mieli częściej niż dotąd sposobność usłyszenia kapłanów uczonych jako prelegentów. Wówczas przekonałby się niejeden obałamucony, lecz dobrej woli młodzieniec, że i od księży może się czegoś nauczyć. A dalej trzebaby pomyśleć o jakiemś dobrem piśmie katolickiem dla uczniów klas wyższych w rodzaju np. niemieckiego tygodnika „Stern der Jugend“ lub węgierskiego „Zàszlönk“ („Nasza Chorągiew“), którego nakład doszedł już do 22 tysięcy egzemplarzy. Zresztą do sprawy tej wrócimy przy innej sposobności. *X. P.*

Nowe dzieło o monizmie.

„Monizm“ — pisze Karol Joël — „był pierwszem słowem filozofii XIX wieku i monizm jest jej słowem ostatniem, jak wyznają materyalista Haeckel i szlachetniej i jaśniej idealista Paulsen“. — „Ogólna prawidłowość — mówi jeden z najsławniejszych myślicieli doby obecnej, Wilhelm Wundt — która objawia się w następstwie poglądów na świat, każe przypuszczać, że realizm dualistyczny przeżył się we wszystkich swoich postaciach i że przyszłość należy do kierunku monistycznego tego sposobu myślenia“.

Rzeczywiście coraz bardziej widoczną jest rzeczą, że monizm staje się ideą panującą naszych czasów. Znaczna większość piszą-

cych o zagadnieniach filozoficznych nie chce już rozdzielać ducha od materyi jako substancyi, różniących się w samej istocie swojej, nie chce też uznawać Boga osobistego, Stwórcy i Władcy wszechświata, ale wszystko, co istnieje, chce sprowadzić do jedności, zwalczając tem samem całą naukę chrześcijańską o Bogu i naszych względem Niego obowiązkach.

Ale ta idea różniczkuje się bardzo w przeróżnych systemach monistycznych, które wymyślono w czasach ostatnich: oto mamy najpierw monizm materyalistyczny, najpłytszy ze wszystkich i dlatego rozpowszechniający się najłatwiej wśród młodzieży szkolnej i wśród mas niezdolnych do samodzielnego, krytycznego myślenia. Ten przyjmuje z góry, bez żadnego dowodu, jako dogmat, że właściwie istnieje tylko materya, a myśl i całe życie duchowe jest tylko jakąś jej wydzieliną, nie mającą trwałego, substancyalnego bytu. Obok niego występuje monizm spirytualistyczny jako stanowcze, radykalne zaprzeczenie materyalizmu: ten przyznaje materyi istnienienie tylko zjawiskowe a byt prawdziwy tylko światu duchowemu. Wszystko, co nas otacza, jest według niego naszem tylko wyobrażeniem. Istnieją tylko według jednych monady duchowe (Leibniz, Herbart), a według innych jedna tylko substancya, z której wszystko się wyłoniło i w której wszystko się rozpływa, jak fale rozpływają się w oceanie. Między tymi znów jedni chcieliby świat cały sprowadzić do myśli, do idei (Hegel), drudzy do woli (Schopenhauer), inni do jakiegoś pierwiastka całkiem nieprzystępnego dla naszego poznania (Comte, Spencer).

A dalej jest monizm, który odrzuca wszelką metafizykę, wszelkie domysły i wnioski, odnoszące się do pierwszej przyczyny wszechrzeczy i chce oprzeć się na samem tylko doświadczeniu. Dla niego pojęcie podmiotu poznającego (jaźni) jest tylko wynikiem nieświadomie metafizycznych uzupełnień i założeń nie dowiedzionych, on chce zajmować się tylko datami czystej, żaduem rozumowaniem metafizycznem nie zamąconej empiryi (Avenarius, Mach, Ewald itd.). Kierunek ten nazywają Rehmke i inni „erkenntnistheoretischer Monismus“, ale więcej jest on znany pod nazwą: „empiryokrytycyzmu“, jest to też może nazwa stosowniejsza.

Otóż te wszystkie rodzaje monizmu poddał X. Fryderyk Klimke S. J. w nowej książce swojej p. n. „Der Monismus und seine philosophischen Grundlagen. Beiträge zu einer Kritik moderner Geistesströmungen“ [1]) — krytyce gruntownej, sprawiedliwej, spokojnej i całkiem przedmiotowej. Jest to monografia, świadcząca o długich i poważnych studyach i pouczająca wszechstronnie o początkach i całym rozwoju

1) Freiburg im Breisgau, Herder. Stron 620 w dużej 8-ce. Cena 12 M. 14·40 K. Opr. w płótno 13·40 M. 16·08 K.

monizmu. Można wprawdzie przewidzieć, że myśliciele „niezawiśli“ wyrażać się będą o niej z lekceważeniem — bo wszakże katolik wierzący a tembardziej Jezuita nie potrafi według ich zdania roztrząsać w sposób naukowy i uwagi ich godny żadnej kwestyi filozoficznej, która ma związek z religią — ale czytelnik nie uprzedzony musi przyznać, że czcig. Autor przemawia tu nie ze stanowiska religii katolickiej, lecz jako badacz, kierujący się samym tylko zdrowym rozumem. Treść książki jest tak obfita, że samo wyliczenie głównych zagadnień, tu roztrząsanych, zajęłoby zbyt wiele miejsca w naszym „Miesięczniku“. Bardzo dosadna i trafna jest np. krytyka materyalizmu (str. 25—152), poglądów filozoficznych Haeckla (o którym mówi Autor w wielu miejscach), Wundta, Macha itd. Dodany na końcu spis nazwisk i rzeczy ułatwia oryentowanie się w ogromnym materyale książki. Autor uwzględnia wszystkich prawie wybitniejszych myślicieli nowszych. Polecamy więc dzieło to jak najgoręcej wszystkim, którzy chcą zapoznać się gruntowniej z obecnym stanem filozofii. *X. P.*

Recenzye i wzmianki bibliograficzne.

Stanisław Dobrzycki: *Psałterz Kochanowskiego, jego powstanie, źródła, wzory* (Kraków, nakładem Akademii umiejętności, skład główny w księgarni Spółki wydawniczej polskiej. 1910, str. 144, odbitka z T. XLVIII Rozpraw Wydziału filog. drukarnia uniwersytecka).

Treść I. źródła do poznania historyi Psałterza i chronologia pierwszych wydań. Poglądy na Psałterz Dawida w w. XVI jako na dzieło religijne i poetyckie. Geneza przekładu Kochanowskiego nie z pobudek religijnych, ale literackich. Rozszeszenie Psałterza w wiekach średnich i w wieku XVI; wydania, komentarze, przekłady prozaiczne, przekłady wierszowane, w szczególności polskie. Oddziaływanie tych faktów na Kochanowskiego i jego stosunek do artyzmu dotychczasowych przekładów polskich. Stąd geneza jego przekładu. „Wyznaniowość“ Psałterza.

II. Źródła Kochanowskiego. Psałterze w inwentarzach księgarni krakowskich. Psalterium Caietani. Biblia Brzeska. Psałterz Kalwina. Psałterz Pagnina z komentarzem Valabléa. Parafraza Campensisa.

III. Wzory Kochanowskiego: 1. Przekłady łacińskie: Hess, Flaminius i Spinula, Buchanan. 2. Przekład Marota i Bezy. 3. Przekłady polskie: Trzecieski, Wojewódka, Rej, Lubelczyk. Stosunek Kochanowskiego do jego wzorów.

IV. 1. Chronologia psalmów. 2. Uzupełnienia do rozdziału 2-go i 3-go. Zgodność Kochanowskiego z psałterzem Pagnina-Vatabléa, z Campensisem, z Hessem, z Marotem, z Lubelczykiem.

Autor, prof. uniw. fryburskiego, znany zaszczytnie z prac literackich (jak np. Geneza pieśni Kochanowskiego „Czego chcesz od nas Panie, za Twe hojne dary“ w Pamiętniku literackim 1902 r.; Pieśni Kochanowskiego w stosunku do innych jego pism r. 1905 w tymże Pamiętniku), pracuje od dłuższego już czasu nad wyświetleniem dziejów powstawania dzieł Kochanowskiego. Do licznego pocztu zasłużonych historyków literatury polskiej, którzy zajmowali się utworami Jana z Czarnolasa (jak Nehring, Wójcicki, Wiszniewski, Tarnowski, Plenkiewicz, Przyborowski, Hoesick, Sienicki, Brückner, Chlebowski, Koch, Zathey, Chrzanowski, Kryński, Bobowski, Bruchnalski, X. Fijałek, z których ostatni w recenzyi rozprawy Brücknera w Pam. Lit. 1904, str. 665 mylnie utrzymuje, że Psałterze wielojęzyczne, niewątpliwie były tylko Polsce właściwe), trzeba zaliczyć i szan. Autora tej pracy, która rzuca snop światła, po żmudnych badaniach w rozlicznych bibliotekach szwajcarskich, na kwestyę dotąd nie wyświeconą źródeł i wzorów Psałterza. *K.*

„Grundfragen der Katechetik“. Herausgegeben von der Katechetischen Sektion der österreichischen Leogesellschaft. Redigiert von Emerich Holzhausen. Wien und Leipzig. Verlag von Heinrich Kirsch. Stron 155 w 8-ce. Cena 3 kor.

Sekcya katechetyczna austryackiego Towarzystwa Leonowego, utworzona w r. 1909, postanowiła przygotować kongres katechetów, wykształconych teoretycznie i praktycznie. Zamiar ten wzbudził wielkie zajęcie, a nawet znalazł się człowiek świecki, który ofiarował na urzeczywistnienie tej myśli 2000 koron. Program kongresu, który ma odbyć się w przyszłym roku, obejmuje: plan naukowy dla szkoły ludowej i dla szkoły średniej, rzecz o książkach dla uczniów i podręcznikach i o literaturze dla katechetów. Chcąc kongres należycie przygotować, uchwalono wydać poprzednio szereg rozpraw, traktujących o „kwestyach zasadniczych katechetyki“. Świeżo pojawił się pierwszy zeszyt tego wydawnictwa, które odda zapewne bardzo cenne usługi sprawie nauczania religii. Pisze tu X. Dr. Göttler (obecnie profesor katechetyki w uniw. monachijskim) o „celu nauki religii“, X. Keller z Monachium o „metodzie nauczania katechizmu“, X. Linden S. I. o nauce katechizmu w szkole ludowej, X. Schatz O. S. B. o projekcie wprowadzenia apologetyki do szkoły średniej, X. Hofer o „ćwiczeniu“, X. Heffler o „stanie nauczania elementarnego religii w Kroacyi“, X. Nolle O. S. B. o „nauce religii w Anglii“ i Siostra Urszulanka ze Schwaz, Wincenta Neusee o „podstawach psychologicznych wykształcenia religijnego dziewicy“.

Rozprawy te zasługują bardzo na uwagę i na przeczytanie. Nie możemy ich na tem miejscu streszczać i oceniać, ale później znajdzie się nieraz sposobność do tego w następnych zeszytach naszego „Miesięcznika". Pouczają nas tu pisarze, należący do najlepszych znawców katechetyki (jak Göttler, Keller, Linden), o rzeczach dla nauki religii najważniejszych. Na niektóre tylko zdania nie możemy się zgodzić, a mianowicie na to, co mówi X. Schatz przeciwko apologetyce w szkole średniej, ale o tem musimy napisać artykuł osobny.

Dalszych zeszytów tych „Grundfragen", wydanych bardzo starannie, będziemy oczekiwali z niecierpliwością. *X. P.*

Korespondencya.

Otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

Odnośnie do notatki, zamieszczonej w zesz. 3 „Miesięcznika katechetycznego" str. 142, dotyczącej dziełka X. Fr. Spirago w polskim przekładzie, upraszam przyjąć i zamieścić w swem cennem czasopiśmie następujące krótkie wyjaśnienie:

Każdy autor zastrzega sobie, aby przekład jego dzieła był wierny i zupełny. Tak też i X. Spirago wyraźnie zastrzegł sobie, aby przekład jego dzieła był zupełny (vollständig). Z tego też powodu tłumacz żadnych istotnych zmian do dzieła nie mógł wprowadzać, a przeto i wartość przekładu oceniać wypadnie nie z jakości zmian, ulepszeń, przeróbek, lecz tylko z tego, o ile wiernie i poprawnie oddaje oryginał.

Za dobór przykładów odpowiada autor. Nie każdemu jednak w jednakim stopniu jedne i te same przykłady przypadną do smaku; jednemu może się coś podobać, co się drugiemu nie podoba. To powiedzieć można i o przykładach Nr. 78 i 79. Obydwa przykłady żyją w ogólnej ustnej tradycyi, spotyka się je i w książkach. Sa ujęte dowcipnie i cięto, lecz na błędnowierców i wolnoduchów można i takiej dobrać broni, ile że spotyka się ją i w życiorysach Świętych np. św. Hieronima. Również lekkim humorem zaprawiony jest przekład Nr. 801, a przecież jest to przykład św. Augustyna i w swym rodzaju niezrównany.

W dziele X. Spiragi w rzeczy samej mało jest przykładów z historyi polskiej. Lecz dziwić się temu nie można. Przy każdej sposobności Autor zaznaczał przedemną radość, że zamieścił przykłady z dziejów Polski, jakie miał do dyspozycyi. A jednak i ta

szczupła ilość przykładów polskich była przeszkodą, że dzieło nie mogło się dostać do Rosyi i musiałem je innymi przykładami zastąpić.

Podobnież nie można z tego Autorowi czynić zarzutu, że czerpie przykłady z osób protestanckich a nawet pogańskich; zło bowiem wszędzie jest odrażające, a dobro wszędzie zasługuje na cześć i naśladowanie. Owszem dostarcza argumentu *a fortiori*, mianowicie w ten sposób: Jeżeli u pogan to spotykamy, o ileż bardziej powinni chrześcijanie itd. Przez przykłady, zewsząd zaczerpnięte, dzieło nabywa w znacznej mierze powszechności, staje się poczytnem i pożądanem dla warstw jak najszerszych i nadaje się do przekładu na inne języki.

Ponieważ najnowsze wydanie niemieckie „Zbioru przykładów" jest na wyczerpaniu i Autor przygotowuje nowe, powiększone wydanie, a zarazem z wdzięcznością przyjmuje zdania recenzentów i nadsyłane mu trafne przykłady, przeto nie omieszkam zwrócić jego uwagi na życzenia WW. Kleru i na dzieło W. X. Makłowicza.

Przemyśl 14 marca 1911. Z poważaniem

X. W. Galant.

Książki godne polecenia.

L ö s c h K a r l. Wie kann das Haus die Arbeit der Schule unterstützen? Nürnberg. Koch. 1910. Str. 34. Cena 75 fen. Ważne dla szkół średnich. Mówi tu długoletni praktyk.

D r. K o c h u. D r. W e c k e r. Religionswissenschaftliche Vorträge für kath. Akademiker. 3. Reihe: Katholicismus und Christentum. Rottenburg. Bader. 1910. Str. 87. M. 1,20. Przydatne także dla starszej młodzieży gimnazyalnej.

D r. A c k e r m a n n L e o p o l d. Der katholische Schulgottesdienst. Paderborn. 1910. Str. 44.

L a n g P a u l. Vom Zwangsbesuch des kath. Schulgottesdienstes. Diessen. Kuber. 1910. Str. 57. Cena M. 1. — Obydwie broszury stanowią całość, omawiającą piekącą dziś kwestyę nabożeństw szkolnych.

F. T r a u n e r. Der Jugend ärgster Feind. VI Aufl. 40 hal. Buchhandl. L. Auer. Donauwörth. Traktuje o tajemnych grzechach przeciw VI. przykazaniu.

Z czasopism wychowawczych i szkolnych.

Nowe Tory. (ze stycznia 1911).

Tołstoj jako pedagog. Autor mówi o szkole ludowej, założonej przez Tołstoja w Jasnej Polanie i o zasadach, na jakich oparł te szkoły Tołstoj. Pierwsza szkoła z r. 1849 upadła bardzo szybko, druga natomiast z r. 1859 trzymała się długo, a Tołstoj sam udzielał w niej nauki. Wedle poglądu Tołstoja w szkole powinno się udzielać religii, nauk przyrodniczych, matematycznych, języków, sztuk plastycznych, muzyki a nadto stolarstwa, mularstwa, szycia itd., winno się jednak wykluczyć ze szkoły wszelki przymus. Nie uznawał też żadnego rygoru, ani kar, ani egzaminów. Według niego dziecko ma nawet pewną wyższość nad nauczycielem, bo miłuje więcej ideały prawdy, piękna i dobra.

Poglądy pedagogiczne Tołstoja znalazły dość silniej oddźwięk w literaturze pedagogicznej Francyi, Anglii i Ameryki.

Sprawa dzieci anormalnych na kongresie międzynarodowym higieny szkolnej w Paryżu. Autor stwierdza, że Francya na punkcie tworzenia zakładów dla dzieci upośledzonych i niedostatecznie rozwiniętych pozostała znacznie w tyle za Hollandyą, a zwłaszcza za Niemcami, zdobyła się bowiem dotychczas tylko na osobne oddziały dla takich dzieci przy szkołach publicznych, podczas gdy Niemcy urządzają w tym samym celu zakłady osobne i to często w charakterze półinternatu lub internatu, aby dzieci mogły znaleźć przez cały dzień zajęcie i opiekę, których nie znajdą w domu, bo ojciec ich i matka są zajęci w fabryce. Autor jest za budowaniem osobnych zakładów dla dzieci umysłowo upośledzonych i nie dość rozwiniętych, gdyż taki typ szkół znacznie lepiej odpowiada celowi niż urządzanie klas równoległych, jest też za uczeniem w takich zakładach rzemiosł, aby dzieci nauczyły się pracować w przyszłości na siebie.

Tragedya duszy dziecięcej. Redakcya ogłasza kilka listów, nadesłanych jej przez pewnego „nauczyciela-praktyka“ z Galicyi, pisanych przez jakiegoś „Adasia“ w sprawie spowiedzi i wiary w Boga. Najdłuższy jest list pierwszy; podaję z niego niektóre ustępy, poprawiwszy tylko parę błędów ortograficznych:

„Kochany Panie! Mam w sobotę iść do spowiedzi, a w niedzielę może do Komunii św. Proszę drogiego Pana mi odpisać, czy to byłaby świętokradzka spowiedź i Komunia św., gdybym nie żałował za ten grzech, żem nie wierzył w pana Boga i gdybym nie postanowił się z tego poprawić. Może to nawet nie jest grzech, I gdybym się nie chciał z tego poprawić i gdybym księdzu powiedział, że żałuję za grzechy i za to, że nie wierzyłem w pana Boga. I że postanawiam się z tego poprawić, że nie wierzyłem w pana Boga, a bym nie żałował i może a może nawet nie może nie ża-

łuję i nie postanawiam się ani może nie chcę się tego poprawić.. żem nie wierzył w pana Boga... Proszę więc najbardziej najlepszego dla mnie Pana zaraz mi odpowiedzieć listownie na te pytania, jak tylko Pan może najprędzej przed spowiedzią i Komunią św., gdyż jestem bardzo czasem z powodu tej spowiedzi i może Komunii św. przygnębiony... Pan jesteś moim najdroższym przyjacielem w mojem życiu. Proszę mi także napisać, czy jest to także grzechem, że to wszystko do Pana napisałem. Proszę mi także napisać, czy będę miał wyrzuty sumienia za to wszystko przez całe życie“ itd.

Z innych listów dowiadujemy się, że „Adaś“ uczęszcza do szkoły średniej, pisze bowiem, że jest podany „tylko z jednego plus to jest do większej pilności“, że został potem celującym, otrzymał „pięć bardzo dobrych a cztery dobre“, że przeczytał już „trzy kięgi z Pana Tadeusza“. List pierwszy ma datę „dnia II/IV 1909“, list zaś ostatni, czwarty z dnia 15/8 1910.

Przytoczyłem umyślnie prawie cały list pierwszy, bo sądzę, że zasługiwałby na uwagę katechetów, — gdyby był autentyczny. Ośmielam się jednak przypuścić, — że listy te są zmyślone i napisane przez owego „nauczyciela-praktyka“, a fałszu dokonano w sposób tak nieudolny, że wystawia on rogi wszędzie. Owe pytania o żalu, postanowieniu poprawy i wyrzutach, powstały prawdopodobnie w głowie jakiegoś „postępowca“. Cała zresztą sytuacya owego „Adasia“ jest tak nienaturalna, że ani na chwilę nie wątpię, iż listów tych nie pisał Adaś, ale ktoś, nie znający wcale dzieci szkolnych, ani ich psychologii i życia. Redakcya widocznie dała się w błąd wprowadzić.

Ale nasuwa się tu inna jeszcze uwaga. Jeśliby w rzeczywistości istniały listy dzieci, pisane w podobnym duchu, to z góry należałoby je przypisać wpływowom ludzi takich, jak ów „nauczyciel-praktyk“, który celowo chce pracować dla „postępu“ i powoduje tem właśnie „tragedyę“ w duszach dziecięcych. Jestem wśród dzieci nie pierwszy rok i twierdzę wraz z innymi z własnego też doświadczenia, że dzieci są bardzo nawet skłonne do wiary w Boga. Ani wiara w Boga, ani spowiedź nie spowoduje u nich „tragedyi“; — „tragedya“ począć się może wówczas dopiero, gdy starsi ze złej woli lub przez nieznajomość rzeczy „tragedyą“ swej własnej duszy zatruwają dusze dziecięce. Tacy niebaczni opiekunowie i wychowawcy niszczą równowagę wewnętrzną w dziecku, a potem wołają z udanym bolem i współczuciem: „tragedya duszy dziecięcej!“

Wychowanie w domu i w szkole. (Z listopada i grudnia 1910).

Dziecko w stosunku do religii. P. W ę s ł a w s k a zaznajamia nas z poglądami Reginalda B r a y ' a, wyrażonymi w książce

„The town Child“ (Dziecko miejskie). Autor, względnie autorka zajmuje się przedewszystkiem udzielaniem nauki religii dzieciom wychowywanym w miastach. Dzieci miejskie w przeciwieństwie do wiejskich zbyt mało przestają z naturą, a zanadto oswajają się z szarzyzną, krzykiem i pospolitością miejską i dlatego więcej mają trudności niż dzieci wiejskie w rozwijaniu uczuć religijnych. Autor porusza jednak także kwestye ogólniejszego znaczenia i na nie właśnie chcę zwrócić uwagę.

Autor wypowiada zdanie, że „system religijnej metafizyki“ „drzemie w dziecku“, że my je w niem rozbudzamy tylko a nie stwarzamy go, że odczuwanie nawet prawd religijnych musi być wynikiem osobistego doświadczenia. Wzniosłość wszelka jest stopniem do świątyni religii. Religia musi iść naprzód z duchem czasu, bo inaczej on pójdzie naprzód bez religii. Świat mało dba o dzieci, religia więc o poprawie złego myśleć musi, wpajając w nie poszanowanie dla samych siebie, jako dla jestestw, mających znaczenie w wieczności. Co do uczęszczania dzieci do kościoła, autor sądzi, że „zachęcać można, ale zmuszać — nigdy“, przymus bowiem zniesie baryerę, jaka powinna istnieć między domem Bożym a miejską pospolitą kamienicą.

Autor uznaje także potrzebę w religii i w wychowaniu dogmatów i twierdzi, że człowiek, którego umysł nie przyjął żadnych dogmatów, nie posiada umysłu wcale. Wiedza ma także swoje dogmaty, jak religia. Jakiś rodzaj dogmatów jest niezbędny umysłowi wykształconemu. Faktem jest, że nauka, oparta na doktrynach, zajmuje pierwsze miejsce w każdem wychowaniu. Trzeba zawsze pamiętać, że niema zasadniczej różnicy między metodami nauczania religijnego a tak zwanego świeckiego.

Z drugiej strony sądzi autor, że religia ciągnęła za sobą w przeszłości dużo mar, a przetrwanie tych mar szkodzi często religii (Jonasz). Zamiast mówić ciągle o łotrostwach, radzi autor kłaść nacisk na tkwiący w dzieciach pierwiastek świętości. Dziecko jest zawsze idealistą i nuta heroiczna rzadko kiedy nie wywołuje w niem echa. Mechaniczne zaś pojmowanie świata nie może dodać człowiekowi energii, której w życiu tak potrzebujemy.

W uwagach tych przebija się nieraz pojmowanie religii na sposób pietystów, podkreślanie przedewszystkiem strony uczuciowej, ze stanowiska więc katolickiego należałoby zrobić pewne zastrzeżenia — jednokowoż autor wypowiada także wiele myśli trafnych i mógłby służyć za nauczyciela tym, którym się zdaje, że uczenie religii i dogmatów zabija wszelką indywidualność, że ogłupia rozum.

Posłuszeństwo i karność w wychowaniu. P. Rzętkowska podaje kilka uwag, dotyczących posłuszeństwa i karności w wychowaniu. Autorka zaznacza na wstępie, że w tym względzie

zdania rozchodzą się bardzo, ale przyjmuje zasadę, że „posłuszeństwo i karność są z jednej strony jedynym warunkiem oddziaływania wychowawcy na dziecko, z drugiej niezbędnym środkiem wyrobienia w wychowańcach karności wewnętrznej i panowania nad sobą“. Aby skłonić dzieci do posłuszeństwa i przyzwyczaić je do karności, Autorka zaleca postępowanie spokojne i konsekwentne, nie podyktowane chwilowem uczuciem, ani kaprysem, lecz rozumem. Wychowawca, matka lub nauczyciel, winien stać zawsze na straży porządku i praw moralnych, a nie wysuwać swej własnej woli, swojej osoby, powinien też unikać wszelkiego upokarzania dzieci i nie wywoływać w nich uczucia doznanego gwałtu i przymusu. Rozkazy, względnie zakazy powinno się wydawać zawsze po należytej rozwadze i zawsze w charakterze „przedstawiciela prawa“.

Sz.

Z prasy peryodycznej.

„Pharus“ Kathol. Monatschrift für — gesamte Pädagogik. Verlag der Buchhandlug Ludwik Auer. Donauwörth.

Bardzo polecamy Czcig. XX. Katechetom ten miesięcznik. Rocznie wychodzi 12 zeszytów. Cena półrocznie tylko 4 kor. 80. hal. Redagowany w duchu czysto katolickim, prócz doskonałych, fachowych artykułów, podaje dokładną literaturę z dziedziny wychowawczej.

R.

Z czasopism ruskich.

Leżą przed nami dwa czasopisma:

a) „Cerkownyj Wostok“ kwartalnik (organ Tow. im. św. Jana Chryz.) I. zeszyt 1911 str. 92. Lwów. Kwartalnik ten zaczął wychodzić z początkiem tego roku.

Z treści obszernego zeszytu najciekawsze dla nas są dwa artykuły. Jeden p. t. „Bardzo wielka „potrzeba“ naszych księży obu partyi w wierze i miłości chrześcijańskiej“ str. 41—48.

Autor artykułu X. Józef Kobylańskij w palącej kwestyi: jak powinni księża partyi ukraińskiej odnosić się do Szewczenki i dziennika „Diło“, zapytał o zdanie nasławniejszego obecnie moralistę katolickiego X. Aug. Lehmkuhla, który odpowiedział, że księża ruscy nie powinni urządzać uroczystości na cześć Szewczenki ani w nich uczestniczyć, chyba że protestują

przeciw jego niechęci do wiary i oświadczają w sposób dla każdego wyraźny, że chwalą go tylko jako patryotę, — że dalej nie powinni popierać „Diła“. Lemkuhl dodaje jednak, że zarówno pisma Szewczenki, jak i „Diło“ nie są mu wcale znane, więc tylko może polegać na relacyi X. Kobylańskiego.

Zresztą X. Kobylańskij nie szczędzi również partyi staroruskiej i zarzuca księżom tej partyi, że wielu z nich trzyma się „Prykarpatskoj Rusy“, choć czasopismo to „redagowane jest w duchu prawosławnym“.

W końcu zaklina księży obu partyi, aby nie dawali sobie wzajemnie nazw obraźliwych, jak np. „moskwofile“, albo „kacapy“, gdyż to prowadzi tylko do podkopania czci duchowieństwa.

Wzywa wreszcie obie partye, żeby stawiały wiarę po nad walkę partyjną. „Czyż cały świat nie walczy z wiarą chrześć. i Kościołem katol. (pisze na samym końcu), to jeszcze i my księża mamy przyłączyć się do wrogów wiary i Kościoła i pomagać „Diłu“ i Szewczence i „Prykarpatskoj Rusy“, aby tylko podnieść swą partyę?“

Drugi artykuł napisał X. Dr. Dion. Dorożyńskij p. t *„Protest przeciw rezolucyi: Uczyć szkolną młodzież codziennych modlitw w żywym, narodowym języku“*.

Sprawa przedstawia się tak:

Członkowie „Towarzystwa katechetów“ (ruskich) dnia 1. listopada 1910 przyjęli rezolucyę, aby „uczyć młodzież codziennych modlitw w żywym, narodowym języku“. Wiadomo, że Rusini modlą się w języku cerkiewnym (starosłowiańskim).

Na poparcie rezolucyi wymieniono trzy racye:

a) język cerkiewny jest ciężki i niezrozumiały dla dzieci, wskutek czego one, a nawet starsi przekręcają pojedyncze słowa i całe zwroty i nie odczuwają w sercu tego, co ustami wymawiają;

b) bardzo jest trudno wyuczyć tych modlitw w języku cerkiewnym w miejskich szkołach ludowych, gdzie jest i polska modlitwa;

c) Polacy modlą się i uczą modlitw dzieci w żywym języku.

Otóż X. Dr. Dorożyńskij zbija te racye, odpowiadając:

ad *a)* winni są katecheci i duszpasterze, że nie wyuczają modlitw codziennych tak, aby młodzież nie mogła słów przekręcać i wszystkie rozumiała. Rzecz to zaś łatwa, tem bardziej, że w „Ojczenaszu“ cerkiewnym tylko trzy słowa są niezrozumiałe dla młodzieży tj. „yże, da, iskuszenije“, a wszystkie inne są zrozumiałe. W „Zdrowaś“ tylko jedno słowo „obradowannaja“ jest niezrozumiałe.

Ad *b)* przyznaje X. Dr. D. trudność w wyuczeniu tych modlitw po miastach, ale sami XX. katecheci ruscy przed kilkunastu laty widzieli tę trudność nie w brzmieniu wyrazów, lecz w alfabe-

cie i dlatego wydali codzienne modlitwy w brzmieniu cerkiewnem, ale literami polskiemi.

Ad *c)*. Ani Polacy, ani Niemcy nie modlą się w żywym, codziennym języku, ale tak w polskich, jak i niemieckich modlitwach są niektóre wyrazy, zwroty i formy z dawnego a w modlitwach zachowanego języka. W tej sprawie X. Dr. D. pytał się specyalistów prof. Dr. St. Kossowskiego w sprawie języka w polskich modlitwach i prof. Dr. Zippera co do modlitw niemieckich. Dr. Kossowski doszedł do takiego wnioksu: „Nie podlega żadnym wątpliwościom graficznym stwierdzenie, że dzisiejszy tekst modlitw (Ojcye nasz, Zdrowaś, Wierzę) jest tekstem w. XVI... pełen form zamarłych i skostniałych, nie podlegających żadnemu oddziaływaniu języka żywego“.

Dr. A. Zipper odpowiedział: „Es steht fest, dass die Textierung der täglichen Gebete, wie sie allgemein gebetet und von einer Generation der anderen überliefert werden, dem heutigen Sprachgebrauch nicht entspricht“.

W dalszym ciągu przytacza X. D. inne argumenty przeciw rezolucyi owej: Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę (Niceno-Konstantp) jest nie tylko codzienną modlitwą, ale wchodzi w skład liturgii (Mszy św.). Wiadomo zaś, że lud w cerkwi odmawia te modlitwy razem lub naprzemian z księdzem. Jakżeż więc mógłby to czynić, gdyby zaprowadzono modlitwy w żywym języku? Innowacya ta wprowadziłaby tylko zamieszanie i odstręczałaby od nabożeństw cerkiewnych. Dalej uczniowie nie mogliby służyć swoim katechetom do Mszy św., bo nie umieliby ani wymawiać, ani czytać cerkiewnego języka, a wszak w tym języku odprawia się Msza św.

Innowacya ta sprzeciwiałaby się bardzo poważnej i starożytnej tradycyi. Jeśli w cerkwiach od czasów Włodzimierza W. odprawiano nabożeństwa w cerkiewnym języku, a lud w tym języku się modlił i wytrwał w nim mimo tylu burz dziejowych, dlaczegoż teraz zrywać z tą tradycyą?

Prawdopodobnie część ludu nie przyjęłaby tej innowacyi, która więc dałaby powód do rozgoryczenia i waśni wśród własnych rodaków.

Konsekwentnie należałoby znieść język cerkiewny i w liturgii i zaprowadzić żywy czyli potoczny. Ale toby się sprzeciwiało przepisom cerkiewnym i Stolica Apost. nie dałaby na to pozwolenia.

Wreszcie język cerkiewny ma tyle wspaniałych zwrotów, że żadną miarą nie da się przetłumaczyć na potoczny z zachowaniem dawnych piękności. Zebrawszy to wszystko, X. Dr. D. wyraża stanowczy protest przeciw rezolucyi z dnia 1. listop. 1910.

„*Nywa*“, czasopismo poświęcone sprawom kościelnym i społecznym (w duchu ukrainofilskim) Nr. 4. Rocznik 8.

Na uwagę zasługuje tu artykuł X. Juliana Dzerowycza, katechety gimn. ze Stryja. W artykule: „Sprawa codziennych modlitw“ przestrzega przed zaprowadzeoiem codziennych modlitw w języku ukraińskim (chociaż sam jest Ukraińcem), przytaczając (prócz kilku drobnych innych) argumenty w zasadzie te same, które są nam już znane z „Cerkownoho Wostok'u“.

Tak więc i wśród ukrainofilskiego duchowieństwa odzywają się poważne i szczere głosy przestrogi. *R.*

Konkursy.

Na pos. naucz. rel. rz. kat. w 5 kl. szk. miesz. w Kańczudze, z obowiązkiem udzielania nauki rel. w szkołach do parafii w Kańczudze należących (III kl. płac); rel. rz. kat. w szk. wydz. żeńskiej w Kołomyi z obowiązkiem udziel. rel. w szk. 4 kl. m. im. Jachowicza tamże (II kl. płac); naucz. rel. rz. kat. w 4 kl. szkole, połączonej z kursem rolniczym w Łoszniowie (IV kl. płac); rel. rz. kat. w 5 kl. szk. miesz. w Makowie; rel. rz, kat. w 5 kl. szk. miesz. w Sędziszowie (III kl. płac); rel. rz. kat, w 5 kl. szk. m. w Bieczu (III kl. płac). Termin do 15. kwietnia r. b.; rel. rz. kat. w 4 klasowych szkołach męskiej i żeńskiej w Janowie (III kl. płac.); rel. rz. kat. w szk. 6 kl. męskiej w Horodence z obow. naucz. rel. w miejscowej 6 kl. szk. żeńskiej (III kl. płac); rel. rz. kat. w szk. 5 m. w Rymanowie z obow. nauczania rel. także w szk. 4 kl. żeń. w Rymanowie i w szk. 2 kl. w Posadzie Górnej (III kl. płac); rel. rz. kat. w 4 kl. szk. miesz. w Wiśniowczyku z obow. naucz. rel. także w innych szk. parafii tamtejszej (IV kl. płac); rel. rz. kat. i gr. kat. w 5 kl. szk. m. w Skałacie z obow. naucz. rel. w miejscowej 6 kl. szk. żeń.; rel. rz. kat. i gr. kat. w 4 kl. szk. m. w Grzymałowie z obow. naucz. rel. w miejscowej 4 kl. szk. żeń.; rel. rz. kat. w 5 kl. szk. m. w Podwołoczyskach z obow. naucz. rel. w miejscowej 6 kl. szk. żeń. (III kl. płac); naucz. rel. rz. kat. w filii gimn. VII. we Lwowie. Termin do 30. kwietnia r. b. Naucz. rel. rz. kat. w szk. wydz. m. w Radziechowie z obow. naucz. rel. w miejscowej 6 kl. szk. żeńskiej (III kl. płac); naucz. rel. rz. kat. w 6 kl. szk. m. w Busku z obow. naucz. rel. w miejscowej szk. 6 kl. żeńsk. i w 1 kl. szk. miesz. na przedmieściu Długa Strona w Busku (III kl. płac). Termin do 15. maja r. b.

Nominacye i wiadomości osobiste.

Zamianowani: X. Dr. Teofil Chciuk zastępcą kat. w gimn. w Przemyślu na Zasaniu; X. Leopold Turzyński katechetą 4 kl. szk. miesz. im. Sienkiewicza w Przemyślu; X. Józef Polit kat. 4 kl. szk. m. im. Konarskiego tamże; X. Michał Bodak katechetą (r. gr.) w szk. 4 kl. w Skolem.

Zmarł 8 marca rb. **Ś. p. X. Władysław Michał Dębicki**, jeden z najwybitniejszych w Polsce apologetów katolickich, dzielny katecheta, filolog i niepośledni pisarz.

Urodzony w Smardzewie, pod Zgierzem, w r. 1853, ukończył gimnazyum w Piotrkowie. Zapisawszy się na uniwersytet warszawski, studyował tu historyę i filologię i uzyskał stopień kandydata nauk historyczno-filologicznych i złoty medal za rozprawę konkursową o historyku greckim Filochorze, drukowaną w r. 1877.

Mianowany nauczycielem języków starożytnych w gimnazyum 3-em w Warszawie, pracował na tem stanowisku do roku 1885 z wielkim dla uczniów swoich pożytkiem.

Następnie, wiedziony wyraźnem powołaniem do stanu duchownego, wstąpił, mając lat 32, do seminaryum metrop. warszawskiego, z którego po 2-ch latach wyszedł jako kapłan.

Ale i wówczas nie zerwał z pedagogią, uczył religii na pensyach i w gimnazyum 2-em warszawskiem (do roku 1899), będąc przez czas pewien wikaryuszem parafii Narodz. N. M. P. na Lesznie, a potem przy archikatedrze św. Jana.

Pracę literacką rozpoczął jeszcze na ławie uniwersyteckiej, mianowicie w „Kronice Rodzinnej“, poczem ogłosił szereg artykułów, prac naukowych i historycznych na łamach „Przeglądu katolickiego“, „Kuryera warszaw.“, „Kłosów“, „Tygodnika ilustrowanego“ itd.

Osobno wydał: „O zasadniczych różnicach psychicznych między człowiekiem a zwierzęciem“, (w 2-ch wydaniach, w roku 1876 i 1887), „Myśl i słowo, logika i gramatyka“ (również w 2-ch wydaniach), „Biesiada u milionera rzymskiego za czasów Nerona, według Petroniusza Arbitra“, „Nieśmiertelność człowieka jako postulat filozoficzny przyrodoznawstwa“. „Bezwyznaniowość, jej przyczyny i skutki“, „Postęp, szczęście i przewroty społeczne“, „Wielkie bankructwo umysłowe, rzecz o nowoczesnym sceptycyzmie naukowo-filozoficznym“, „Przyszłość Chin“, „Filozofia nicości, rzecz o istocie buddyzmu“. Przedwczesna śmierć tego pisarza jest wielką dla literatury naszej stratą. — R. i. p.

Ze Związku X. X. Katechetów.

Nowe Koło Związku utworzyło się w Samborze dnia 8. lutego r. b. Członków liczy 10-ciu. Prezesem obranym X. Ludwik Bikowski, prob. w Samborze, wiceprezesem X. Herman Kulisch, skarbnikiem X. Andrzej Stepek, sekretarzem X. Piotr Turek.

Walne zgromadzenie doroczne Związku Katechetów odbędzie się d. 25. kwietnia (wtorek) o godz. 4 po poł. w lokalu Związku we Lwowie (Pl. Kapitulny 7) ze zwyczajnym porządkiem dziennym.

Upraszamy Czcig. Czytelników naszych, żeby raczyli wszyscy zapisać się do Związku Katechetów. Wkładkę roczną (dwie kor.) można przesyłać na ręce skarbnika X. Dra Szydelskiego (Lwów, Miłkowskiego 11) albo wraz z przedpłatą na nasz „Miesięcznik". Prosimy także zachęcić wszystkie dyrekcye szkół do zaprenumerowania tegoż „Miesięcznika".

Spis rzeczy.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: X. Dr. Alexander Pechnik.